



Cz. Lubirski.

Ł niwy śląskiej

BYTOM G. S.
WYDAWNICTWO „KATOLIKA.”



10





Z NIWY ŚLĄZKIEJ.

WIERSE

CZESŁAWA LUBIŃSKIEGO.
(Ks. Kuratorka akademicki)
† 1895

TOM PIERWSZY.

WYDANIE DRUGIE, POMNOŻONE I POPRAWIONE.



BYTOM G.-Ś.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „KATOLIKA”
CZCIONKAMI DRUKARNI „KATOLIKA”.

1893.



8-1

Lubi

2 niw

165 5

~~51484~~

884-1

ZBIORY ŚLĄSKIE



Do drugiego wydania.

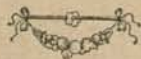
Wam, koledzy z lat minionych,
Tobie, młodzi górno-ślązka,
Poświęcona ta spóźnionych
Domorosłych kwiatów wiązka.

Przyjmijcie je z sercem prostem;
Choć niektóre mniej dobrane
Między niemi, przecie z ostem
I pokrzywą nie zmieszane.

Niech przypomną wam te świeże
Kwiaty hasło śląskiej ziemi:
Że przy ojców mowie, wierze
Aż do zgonu stać będziemy.

Niech przypomną prawdę starą:
Że nie cudem, ale trudem,
Miarą, wiarą i ofiarą
Zostaniemy wolnym ludem.

Po bratersku więc przyjmijcie,
Co wam brat i ziomek śpiewa;
Gdy zamilknie, to westchnijcie:
»Niech w pokoju odpoczywa!«



Do pierwszego wydania.

Scribimus indocti doctique poemata passim.
Horatius.

Piszą mistrzowie, piszą i mazgaje.
Tak zawsze bywało, jak mi się zdaje;
Ztąd bywa też mniejsza liczba wybranych,
Niż powołanych.

Ten, aby wiecznie osiąść na Parnasie,
Ów, który sam za skromniejszego ma się,
Pisze, by imię jego drukowane
Było widziane.

Jednego zrobiła poetą moda,
Drugiego rzkomo kochanki uroda,
Trzeciemu możnych protektorów trzeba,
Czy kawał chleba.

Lecz dzięki Bogu, są jeszcze na świecie
Tacy — a do nich ja się liczę przecie, —
Co sobie tworzą i nucą swe pieśni
Jak ptacy leśni.

Co sobie w serca zaciszu swe pienia
Dumają z ustronia, jakby z niechcenia,
I w dań składają dla ojczyzny-matki
Swe dumki-kwiatki.

By ich słuchając, w swym smutku weselej
Marzyła, a jej wrogowie wiedzieli,
Póki brzmią polskich dumek melodyje,
I Polska żyje.



I.

Z ŻYCIA I ŚWIATA.

Świat i życie — mgłą ponurą,
A nauka — zimną chmurą,
W nich błyszczącą gwiazdą pieśń;
Świat i życie — las cienisty,
Doświadczenie — step ciernisty,
W nich pachnącym kwiatem pieśń.



Po co śpiewam?

Po co śpiewam? Tak się pytasz;
Ale wprzód mi powiedz, po co —
Choć ich żaden nie podziwia, —
Tyle gwiazdek błyszczy nocą?

Powiedz, po co tyle kwiatów
Kwitnie, których nikt nie zrywa?
Po co tyle ptaszków, których
Nikt nie słucha, ciągle śpiewa?

Po co się najskrytsze strony
Świata najbogaciej stroją?
Po co się te legiony
Muszek i motylów roją?

Po co niebo rano, wieczór
W złotym ogniu zorzy płonie?
Po co się niemowlę mile
Uśmiecha na matki łonie?

I co znaczy szmer, co w liściach
Tajemniczo drzew szeleści?
Co ten wietrzyk, co się z chmurką
Na błękitnem niebie pieści?

I co znaczy szum potoku
Wijącego się po łące?
I co ryk rozhukanego
Morza i pioruny grzmiące?

Powiedz, po co tyle skarbów
Kryje się w wnętrzościach ziemi,
Pereł w morzu, kiedy ludziom
Zdobić się nie dano niemi? —

Ach, to wszystko całość składa,
Która Pana swego chwali,
A Pan mile na nią patrzy,
Choćby ludzie mało dbali.

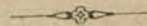
Z tą całością, z tymże chórem
Łączę moje skromne pieśni,
Obojętny, czy dla świata
Przebrzmia później albo wcześniej.

Obojętny, czy je czytać
Będzie jeden albo wielu,
Składam z nich dań skromną Bogu:
Po to śpiewam, przyjacielu!



Gloria Deo!

Ile kropli w oceanach,
Ile ziół na ziemskich łąkach,
Ile ziarenek w żyznych kłosach,
Ile uczuć w ptaszcych głosach;
Ile rybek w głębi pluska,
Ile muszek wody muska,
Ile pyłków na pustyni,
Ile słońce śle promieni;
Ile wonnych kwiatów w lecie,
Ile żyjątek na świecie,
Ile chimur na wysokości,
Ile minut we wieczności;
Ile świat tajemnic chowa,
Ile słów ma ludzka mowa;
Ile twarze łez zrosiło
A uśmiechów okrasilo;
Ile gwiazd na niebie świeci,
Ile kiedyś bożych dzieci
Żyło, żyje i żyć będzie;
Ile z Stwórcą w chwale siedzie
Świętych i aniołów w niebie:
Tyle razy chwalim Ciebie,
Już na ziemi, Ojcze-Panie!



Pragnienie.

Serdecznym wita
Głosem skowronek
Młodziuchny dzionek;
Ani się pyta,
Czy go słuchają,
Chwałą czy łają
Ludzie.

Powietrze porze
Skrzydłem i dzwoni
Śród polnych woni
W śpiewaków chórze
Piosnkę, to małe
Ptaszę na chwałę
Bogu.

Bodaj to z niemi
Ziemie porzucić,
I pieśń zanucić
Już z niebieskimi
Zgodnie i stale
Ku większej chwale
Boga!

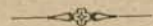


Aniół pański wieczorny.

Słońko zgasło za górami,
Letni wiatr powiewa,
A znużone ptaszę czasem
We śnie się odzywa.
Po zagonach jak mórz fale
Bieleją się kłosa,
A w gałęziach coś szeleści
Jakby duchów głosy.

Na modlitwę, na spoczynek
Dzwon wieczorny woła,
I pobożni kmiecie kornie
Nachylają czoła. —

We mnie czucie czy pragnienie,
Iż czas niedaleki,
Gdy mię Aniół pański wezwie,
By spocząć na wieki.

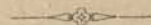


W kaplicy leśnej.

Już ostatni promień słońca
Pożegnał kaplicę,
I zmrok nocny okrył kirem
Cudną okolicę.

Kwiaty pospuszczały główki
Zmęczone na ziemię,
Nawet wietrzyk się uciszył
I w gałęziach drzemie;
Szczebiotliwe drobne ptastwo
Zwolna się uśpiło.
Jedno tylko biedne ptasze,
Co się opóźniło,
Siadłszy na kaplicy progu
Nuci pieśń tak rzewną,
Jakoby w nią przelać chciało
Swą duszyczkę śpiewną. —
A przed Maryi obrazem
Wiszącym na murze,
Drobny płomyk się migoce
Jakby gwiazdka w chmurze.
Ptaszek, płomyk i ja trzeci —
Już tylko my sami
I samotni przy najświętszej
Panience czuwamy. —
Bodaj tobie, droga matko,
Duszy mej westchnienia
Były tak przyjemne, jak mnie
Tej ptaszyny pienia!
Bodajbym, jak owa świeca
Na twą chwałę płonie,

Żywot w twojej służbie strawił
Kończąc w świętym skonie!



Przy głosie dzwonu.

Gdy spoczywającym dzwonek
Zapowiada nowy dzionek,
We mnie echem się odbija:
Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy śród pracy i upału
Dzwonek spocząć każe ciału,
We mnie echem się odbija:
Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy zaś dzwon po dziennym znoju
Skrzętanych wzywa do spokoju,
We mnie echem się odbija:
Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy głos dzwonu tkliwo-lzawy
Mięsza się ze zgiełkiem wrzawy,
We mnie echem się odbija:
Zdrowaś bądź, Marya.

Gdy mi na łożu boleści
Dźwiękiem swoim ucho pieści,

W duszy echo się odbija:
Zdrowaś bądź, Marya!

Gdy się łzami wilżą oczy,
Przyszłość się przede mną mroczy,
Dzwonek w duszy się odbija:
Zdrowaś bądź, Marya!

Czy mię straszą burzy groty,
Czy pokusy lub zgryzoty,
W duszy zawsze się odbija:
Zdrowaś bądź, Marya!

A gdy śmierć przede mną stanie,
W dzwon uderzą na konanie,
Niech się jeszcze raz odbija:
Zdrowaś bądź, Marya!

M a j.

W świeży liść się stroją knieje,
Jeży kłos na łanie,
Chór śpiewaków leśnych pieje
Swobodę, kochanie.
Strumyk buja wśród olszyny
Po zielonej łące;

Woń roznoszą z gór, z doliny
Kwiatczków tysiące:
Martwą ziemię w krasny raj
Zamienił zwycięzki maj.
Komu tedy smutno bije
Serce lub kto chory,
Niech przystąpi i napije
Się wśród młodej pory
Z źródła życia i natury.
A gdy zdrowie wróci,
Z czoła pierzchną zmarszczek chmury,
(To w duszy zanuci:
Błogosławcie ze mną maj,
Co nam świat zamienił w raj!

Ulubione miejsca.

Tam gdzie wiatr lipcowy
I zapach różowy
Z liściem lip się pieści;
Gdzie w cienistych klonach,
W białych brzoź koronach
Cichy szmer szeliści;
Gdzie po pulchnej bloni
Bystry potok goni:
Tambym wiecznie mieszkał!

Gdzie na pysznym dębie
Gruchają gołębie;
Gdzie swe korowody
W nocnych światel blasku
Wodzą do dnia brzasku
Anielskiej urody
Przecudne dziewoje,
Nimf, rusalek roje:
Tambym wiecznie dumał!

Gdzie las chórem śpiewa,
Ptaki, kwiaty, drzewa;
We dnie szepty, baśnie,
W nocy duchów tany;
Jak sen nieprzerwany
Cudny śpiew nie gaśnie;
Zawsze młoda wiosna,
Swobodna, radosna:
Tambym wiecznie spoczął!

Przecucie wieczorne.

Na spoczynek idzie dzień,
Z lasu wymyka się cień,
Szkarałat sklepienia błednieje;

I jak w czarodziejskim śnie
Wszystko milczy w koło mnie
I przecucie w serce sieje.

Rudy wrzos się pokrył mgłą,
Oko zaćmiło się łzą,
Usta szepcą mimowoli,
Budząc szmer z miękkiego mchu:
Długoż jeszcze, długoż tu
Będę swej zażywał doli?

Głosy przyrody.

Otwartą księgą jest natura
Dla tego, co w niej czytać umie;
Kazaniem — ptak, kwiat, las i chmura
Dla tego, co ich głos rozumie.
A wszystko prawi jednogłośnie,
Czy drobny mech, czy wielkie morze,
Choć różnym głosem, lecz radośnie:
O jakżeś dobry, wielki Boże!

Obrazek.

Na pagórku, tuż za wioską
Stoją lipy, klony,

Między niemi bluszczem spięty
Krzyżyk pochylony.

Pod nim babka w cieniu drzewa

Wspiera słabe czoło,

U jej stóp niemowlę czołga

W trawie się wesoło.

Przechodzący tam wędrownik

Wolniejącym krokiem,

Szepce, czułem na ten widok

Spozierając okiem:

Co jest radość, co jest smutek?

Jaki los człowieka?...

Stary nie wie już, co cierpiał,

Młody, co go czeka.

Dola różna — wartość równa,

Byle starca jęki

I śmiech dziecka, zawsze trwały

W cieniu Bożej męki.

Nocne życie lasu.

Po zroszonej łące suną
Tajemnicze dzwonów głosy,
Im wtóruje pacierz kmiecia,
Pieśń spóźniona i brzęk kosy.

Miesiąc bawi się z chmurkami,

Wietrzyk z liściem lipy pieści,

A przez drzew gałęzie ciągną

Ciche szepty, tajne wieści.

Kształtna a przezorna sarna

Z gęstej knieji się wymyka —

Stoi — śledzi — krok po kroku

Posuwa się do strumyka.

Tam wylewa słowik w tkliwej

Zwrotce swoje serce małe,

A przy jego pieniach wodzą

Rej rusalki śnieżno-białe.

Budzą się zakłęte duchy,

Tworzą koło na murawie

I w księżycu bladym świetle

Poświęcają noc zabawie. —

Ale z rannym brzaskiem lasu

Tajemnicze życie gaśnie —

Sarna, słowik, elf się kryją —

W drzewach milczą stare baśnie...

Wieczór w listopadzie.

Po złupionych z kwiecica łąkach
Wiatr wieczorny chłodno wieje,

Z nim się toczy mgła w tumanach
I z wilgocią ciemność sieje.

Białe brzozy, ciemne klony
Sterczą jak widziadła w górę;
Smutkiem ziemi zarażony
Miesiąc schował się za chmurę.

Wymarł las, ucichło pienie
Ptasząt wczoraj tam bawiących,
Chyba przerwie dziś milczenie
Łoskot skrzydeł uchodzących.

Czasem ozwie się samotny
Puszczyk, który łupu szuka,
Albo w gniewie wicher wrotny
Silniej w nagie drwa zastuka.

Smutny stan, przyrodo, taki:
Choć nie sama śmierć to jeszcze,
Ale pewne jej oznaki, —
Są to pierwsze zgonu dreszcze.

Tęskność w jesieni.

Kwiaty wędną, liście żółkną,
Puste już zagony;
Ranki chłodne, wieczór długi,
Smutkiem las zamglony.

Ptastwo trwoży się i rzuca
Ulubione gaje,
I tęskliwie się wybiera
Gdzieś w dalekie kraje.

Ani morze go nie zraża
Ani podróż długa,
Bo tam wabi nowa wiosna
I ojczyzna druga.

Świeże kwiaty, pełne kłosa
Tam się uśmiechają,
I znajomych wracających
Przyjaciół czekają. —

Serce moje, serce ludzkie,
I tyś ptaszek boży;
Niech cię tęskność, co się w tobie
Odzywa, nie trwoży.

Bóg ci ją wlał, chcąc przygarnąć
Kiedyś cię do siebie,
Bobyś bez niej, Ignąc do świata,
Zwątpiło o niebie.

Samotność.

Powiedz, czemu od nas stronisz,
Kryjąc się gdzieś w góry?

Powiedz, co cię tak namiętnie
Ciągnie w las ponury?

Wieczór, — towarzystwo mile,
A tam w ciemnym lesie
Pewno sam na sam się nudzisz, —
Jak to zdaje mnie się. —

Żal mi ciebie, bo się mylisz,
I mnie nie zrozumiesz,
A chociażbyś chciał uwierzyć,
Bodaj pojąć umiesz.

Towarzystwo wielkie, żywe
Na mnie w lesie czeka,
Goście różni, bracia równi
Z bliska i z daleka.

Ich wesołość szczerą, prostą,
Czasem aż zuchwałą;
Lecz że sobie radzi równi
Wszyscy, zgoda trwała.

Każdy mile tam widziany,
Co do nich przystanie; —
Ale — ale — trzeba znać już
Wprzód obcowanie

I z duchami i z ptaszkami
I z szelestem liścia;
Bo gdy nie znasz ich języka,
To nie radzę wnijsć.

Ogródek ukryty.

Mało znany i ceniony
Znam ogródek cichy, skryty,
Wonnem ciepłem owioniony
I ozdobny w kwiat obfity.

Cicho w nim i cicho w koło,
Nad nim słońca blask rozlany;
Z kwiaty pieści się wesoło
Z srebrnem echem szmer zmięszany.

Tym ogródkiem serce moje,
Kwiatczkami pieśni drobne,
Myśli trosk i uczuć roje,
Echem wspomnienie żalobne.

Przy wschodzie słońca.

Księżyc i gwiazdy błednieją,
A słońca złote promienie
Po pulchnej murawie sięją
Perły i drogie kamienie.

Ledwo zabłysło, — skowronek
Wnet się ku słońcu podnosi;
Ledwo zaśpiewał, — wnet dzwonek
Ranną modlitwę też głosi.

Święte milczenie w około
Zalało całą naturę;
Kornie się chyli me czoło,
A serce podnosi w górę.

—
Suche kwiaty.
—

Ktoby ugasił przykre pragnienie,
Co głowę mąci a serce suszy?
Ktoby tęskności zalał płomienie,
Zgadł i uleczył ból chorej duszy?

Podróżą znużony śnieżno-pióry
Gołąb samotny spuszcza się z góry,
I siada na szarej ruinie,
Sterczącej nad siołem w dolinie.
Co dzień tę podróż gołąb odbywa,
Co dzień na lubem miejscu spoczywa,
W ruinie nad piękną doliną
I patrzy za piękną dziewczyną. —

Gołąb — to moja dusza znękana,
Rzewnej tęskności żałom oddana,
Na pragnienie szuka napoju,
Dla tęsknoty cudnego źródła.

* * *

Ej, kędy tak spiesźnie, krasna dziewico,
Jakoby z wielką w duszy tajemnicą? —
Biegnę, ze źródła urody
I miłości napić się wody!

* * *

Na złotych strunach
Aniołowie grają,
O mojej sobie
Doli rozprawiają.

Aniołów śpiewka
Zawsze brzmi radośnie,
Lecz w własnej duszy
Odbrzmiwa żałość.

Ja i świat cały
Wiemy, o czym grają;
Tylko ma luba
Nie wie, co śpiewają.

* * *

Cóż, że wspaniałe góry i morza, —
Dla mnie próżne i nudne!
Cóż, że bogate miasta i kraje, —
Dla mnie puste, bezludne!

Najpiękniejsza mi okolica,
Najbogatszy kraj:
Gdzie moja luba krasawica,
Tam prawdziwy raj!

* * *

Księżyc wstaje z nocnej toni
I twarz bladą dźwiga,
Z wiatrem za chmurami goni,
Lecz daremnie ściga.

O północy powstał z łoża,
By wyprzedzić słońce;
Ale prędsza ranna zorza
I świt, światła gońce.

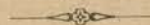
Więc go słońce wyprzedziło, —
Kochanek blednieje;
Gdy za sobą zostawiło,
Z kochanka się śmieje...

* * *

Może jutro. — Lzy się leją —
Lubą mą zobaczę!
Może jutro... tak nadzieją
Ludzę się i płaczę.

* * *

Ile kwiatków zdoła ogrody, —
Nad wszystkimi róża panuje:
Czego serce pragnie, co czuje,
Nie idzie z kochaniem w zawody.



Do słowika.

Mój słowiczku, coś niedawno
Rozkosz mą okraszał pieniem,
Dziś mi krwawisz ranne serce
I piosenką i wspomnieniem.

Mój słowiczku, nie rozczulaj
Mi więc miłosnemi dźwięki
Duszy, która z twoich pieśni
Czerpie chyba rozkosz męki.

Chwil, których ty byłeś świadkiem,
Nie przywrócą twoje pienia,
Ale zaprawiają stratę
Pamięcią osamotnienia.

Nie rozczulaj mi więc serca,
Póki rany się nie zgoją,
Idź i zostaw mię samego,
Póki lzy się nie ukoją.

Z każdą zwrotką twojej pieśni
Łzę nabrzmiewa mi powieka,
Idź i na ustroniu śpiewaj,
Gdzie cię twoja luba czeka.

Smutna wiosna.

Łąki i lasy długo pozbawione
Wdzięków swych, stroją się w świeże zielenie;
Z słońca się topi na pola zroszone
Błyszczące złoto, perły i kamienie.

I ptastwo ciągnie dalej korowody
Długo przerwane, i ochoczo śpiewa;
Jemu wtóruje pędząc w pole trzody
Pasterz, a w górach echo się odzywa.

Wszystkim się wszystkim wiosna uśmiechnęła,
Darząc pieśniami, kwiaty i radością:
Mimo przechodząc mię też nie minęła,
Darząc myśl smutkiem, a serce żalością...

Rozstanie.

Gdy ją żegnał, zawsze jasno
Na mnie spoglądały

Oczy jej i do powrotu
Czule zapraszały.

Dziś się łzami jej pogodne
Zaćmiły powieki,
Mimo mnie i jak bez celu
Patrzą w świat daleki.

Zgasła słodka ich wymowa
Pod zasloną cienia:
Przy rozstaniu — nic nie mówi
Z ocz jej: do widzenia!...

Przy studni.

Letni wieczorek ogarnął zagrodę,
Z pola wracają pługi i bydłęta;
Drzwi chatek skrzypią, z nich bieżą po wodę
Rączy parobki i hoże dziewczęta.

Żuraw nad studnią wiejską zadumany,
Wyglądający cały dzień wieczora,
Szyję rączy schyla i dźwiga dzbany,
Co mu podaje młodzież wiejska skora.

Głośno żartują swawolni młodzieńce, —
Pewni, że matka nie słyszy ich w domu;
Na twarzach dziewczek jaśnieją rumieńce
Lub przelatuje uśmiech pokryjomu.

Alieć niejedna przyszła czerpać wody
Płocha, wesola i z błyszczącym okiem,
Która wracała z blademi jagody,
Z schylonem czołem i niepewnym krokiem.
Gdy jej się matka pytała niejedna:
Co to? Czy cięższa woda dziś jak wczora,
Albo czyś słaba? — To westchnęła biedna:
I woda cięższa, i ja niby chora....

Z i m a.

Zamilkł, wymarł tak bogaty
I ruchliwy las;
Wiatr pozrywał wonne kwiaty,
I ściał źródła w głąz.
Śnieg i szturm po kniejach goni
I gwałtowny huk;
Im wtóruje tam na błoni
Smutno głodny kruk.
Więc do domów uciekajmy,
Aż ożyje las;
Do puharów zasiadajmy,
Gdy po temu czas!
Gdy ucichli ptacy leśni
I oniemiał bór:

Niechaj zabrzmí naszych pieśni
Tem głośniejszy chór.
Gdy nie kwitną bratki, róże
I lipowy kwiat:
Winko, miodek nam pomoże
Odżalować strat.

Otucha wiosenna.

Hej, nowina radosna:
Powróciła już wiosna!
Z nią poranki jaśniejsze,
I wieczorki cieplejsze,
Dłuższe słoneczne dzionki;
Dalej szpaki, skowronki,
Cały orszak skrzydlaty;
Wonne zioła i kwiaty,
Konwalię, fijołki,
Stokrotki i śniegołki;
Złotych muszek też chmary
Z brzękiem, dźwiękiem bez miary.
Hej, nowina radosna:
Powróciła już wiosna!

Hej, nowina radosna:
Powróciła już wiosna!

Z nią wstępuje do duszy
I otucha, że skruszy
Też mych cierpień kajdany,
W sercu wygoi rany.
Więc ochoczo, wesoło
Spojrzyj, serce, w około;
Ej, bo dziwnieby było,
Byś się samo martwiło,
Gdy się wszystko radośnie
Dziś uśmiecha ku wiosnie.
Hej, nowina radosna:
Powróciła już wiosna!

Hej, nowina radosna:
Powróciła już wiosna!
A ta stara nowina
Światu znów przypomina,
Że po zimie żywota
Doczesnego, nam złota
Wiosna rajska bez końca,
Pełna światła i słońca
Wszystkim tym zajaśnieje,
Których grzechów zawieje
Nie zmroziwszy, strąciły
Do piekielnej mogiły.
Hej, nowina radosna:
Powróciła już wiosna!

Liście opadające.

Barwą śmierci okraszone,
Żółte - czerwone
Liście opada;
Wiatr jesienny je podnosi,
Trąca, roznosi —
I liść przepada.

Ile czynów poronionych
I dni straconych
Liczysz w tym roku?
Ile widoków zabłysło,
I łez wytrysło
Złudnych w twem oku?

Ile zwichnionych nadziei
Znikło w zawiei
Wypadków wrogich?
Ile z wiatrem uleciało,
Ile zostało
Pamiętek drogich?...



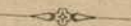
W świetle księżyca.

Strugami srebrne światło rozlewa
Księżyc na góry, doliny;

Wietrzyk wieczorny uśpił już drzewa
I gadatliwe ptaszyny.

Usnął i wietrzyk; teraz dokoła
Cisza świąteczna panuje,
Tylko z wiejskiego czasem kościoła
Dzwonka mię głos dolatuje.

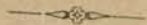
A wtedy w duszę spokój uroczy,
Jak wśród rzewnego pacierza,
Spływa strugami, zwilża mi oczy
I gwarne myśli uśmierza.



Mgła.

Gęsta, smętna mgła okryła
Szarym płaszczem pasma gór,
Słońca twarz mi zasłoniła,
Pola i poważny bór.

Lecz bądź pewnym, iż rozchwieje
Wnet jutrenka mgłę i cień,
Słońce piękniej zajaśnieje
I roztoczy wkoło dzień.



Chmura.

W pioruny brzezienna, grzmiąca, ponura,
Wisi nad wiejskimi zagony chmura.
Zwierz dziki się kryje, i kłosa żyta
Chylą się trwożnie, a kmiotek się pyta:
Co chowasz w swém łonie, piorun niszczący,
Czy deszcz pożądanym, rolę karmiący? —
Tak jedne usta gotowe przekleństwo
Miotać albo szerzyć błogosławieństwo.



Nad stawem.

Daleko od mieszkań ludzkich, owiany
Ciszą staw ukrył się w gaju cienistym;
Nad jego brzegiem siadłem raz zagnany
Myślami, przypatrzeć się wodom czystym.

W nich kąpie się słońce, po nich pływają
Papuże chmurki jak wielkie łabędzie;
Boki gór, co się nad brzegi schylają,
Tworzą w około olbrzymie krawędzie.

Po nich wspinają się leśne powoje,
Mchy, bluszcze, barwinki i dzikie wina,
W wodach się nurzą róż morskich zawoje,
Wonny tatarak, sitowie i trzcina.

Z ptasząt się jedne bawią piosenkami,
Drugie zwierciadło wód skrzydłem muskają,
Goniąc za tańczącymi muszkami,
A w głębi rybki swobodnie pluskają.

Oj, tak mi tam było błogo i miło,
Że byłbym przedumał cały dzień snadno:
Naraz zagrzmiało, słońce się zaćmiło,
Ptaszki zamilkły, rybki poszły na dno.

Zerwał się wicher i we wstępnym boju
Zamienił w jednej chwili okamgnienia
To miejsce zgody, szczęścia i spokoju
Na pole walki i widok zniszczenia.

Poznaj w tem wierny obraz niestałości
Losu i życia ludzkiego na świecie:
Nagła i ciągła — po krótkiej młodości —
Burza, nim staniesz przy żywota mecie.

Pacholę na górze.

(Obrazek.)

W zorzy się mienią niebiosy,
Ich barwą krasi się rosa;
Drzemiące trawki i sosny
W objęciach budzą się wiosny.

Wiatr wita lasy i gaje,
Z kapliczki dzwonek oddaje
Mu: witaj! a w tysiąc głosy
Wtórują gile i kosy.

Z góry zaś patrzy pacholę
W około na bujne role,
Na łąki, bory i wioski, —
Het, na ten piękny świat boski.

I szepce z świętą radością:
To wszystko bożą własnością...
A cóż dopiero człowieka
Dobrego tam w niebie czeka...

Dziewczynka nad grobem.

(Obrazek.)

Nad grobem siedzi dziewczynka
Z twarzyczką by aniołeczka,
I drobnym paluszką plecie
Na wianek liście i kwiecie.

Po kwiatek sięga co chwila
I smutną twarzyczkę schyla,
Schyla ku ziemi się częściej,
A łezki tryskają gęściej. —

Czemuś, dziecinko, w żałobie?
I kto spoczywa w tym grobie?
Czyś dla matuchny uwiła
Wianek i łezki ronila?

O nie, bo jeszcze słodziuchna
Mi dotąd żyją matuchna;
Ale braciszka płakałam,
Że go za życia nie znałam...

Kwiaty i gwiazdy.

Lube kwiateczki, waszym widokiem
Oko się cieszy, serce się smuci,
Pomnąc, że razem z wieczornym zmrokiem,
W niwecz się wasza świeżość obróci.
Lecz skoro ranna zorza zaświta,
Świeży kwiat miasto zwiedłych ją wita.

Lube gwiazdeczki, waszym widokiem
Oko się cieszy, serce się smuci,
Bo ranne słońce światła potokiem
Wasz blask zagasi, radość mą skróci.
Lecz gdzie z was każda zrana błednieje,
Wieczorem tamże znów zajaśnieje.

Kwiaty i gwiazdy, waszym widokiem
Oko się cieszy, serce się smuci;
Albowiem straty, na jakie wzrokiem
Łzawym dziś patrzę, jutro nie wróci.
Lecz co mi srogi los dzisiaj wzbrania,
Odzyskam przecież — w dzień zmartwychwstania.

Przepiórka.

Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Woła przepióreczka
Ukryta, z żyteczka:
Porzuć smutne mury,
Wstąp w ogród natury.
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Porzuć młot, obcęgi —
Ciśniej pióro, księgi —
Rzuć pracę niewoli,
I co serce boli!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Kogo fałsz omamił,
Kto się grzechem splamił;

Kogo smutek, nędza
W głąb zguby zapędza.
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Kogo świat już nudzi,
Lub mylny los łudzi, —
Słuchaj, niewolniku
Utrapięć bez liku!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Na każde cierpienie
Znajdziesz uleczenie:
Spojrzyj na to zboże,
Ot — kazanie boże!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Każde ziarnko woła:
Bóg dba o nas zgoła!
Cześć ojcu w niebiosach!
Szeleści wciąż w kłosach.
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!
O, posłuchaj szczerze
I utwierdź się w wierze:

Że boża opieka
Nie opuszcza człowieka!
Chodź-no, chodź! Chodź-no, chodź!

—❖—
Bogu-wola.*)

Zawiedziony raz w nadziei,
Z żalem w sercu, ze łzą w oku
Błąkałem się w ciemnej kniei,
Aby pozbyć się natłoku
Gwarnych uczuć.

Lecz wiosenny wiatr ochłodzić
Nie mógł mi gorączki czoła,
Ani oka rozpogodzić,
Ani sercu ulżyć zgoła
Widok wiosny.

Wtem się rozległ głos tak błogi,
Że zamilkły ptasząt chóry,
I jam otrząsł smutek srogi,
Gdy ptak wezwał złotopióry:
Bogu wola!

Pomyślałem: to głos z nieba,
Które pragnie twej słabości

*) Tak zowie lud śląski pięknego leśnego ptaka wilgołę.

Pomóc, — usłuchać go trzeba,
Zanim głos sprawiedliwości
Groźno zagrzmi.

Bogu wola! — Wciąż powtarza
To stworzenie nierozumne.
Czy ta myśl cię nie zatrważa?
Czy twe widzimi się dumne
Bogu wolą?

Bogu wola! — To głos z nieba;
Tam zwróć oczy, myśli, chęci,
To cię świata martwa gleba
Nie zasmuci i nie znęci;
Bogu wola!

Skowronek.

Gdy mgła szara, noc leniwa
Pola żalobą pokrywa;
W górę się skowronek wznosi
I swobodnie pieśń swą głosi.

Gdy ci boleść zwilża oczy,
I tęsknota serce tłoczy,
Duszę straszą pokus czary;
Wznies się na wyżyny wiary!

Myśl i oko.

Och, daleko za górami
Nurzy się gdzieś oko,
Gdzie je złudne myśli wabią,
Zanurza głęboko.

Coraz głębiej się zanurza
We wszechświata morze;
Lecz daremno mierzy otchłań,
Dna dociec nie może.

Oko — to kochanek śmiały,
Myśl — kochanka luba:
Za nią goni tępe oko,
Przed niem płąsa zguba.

Powstrzymaj się, słabe oko,
W swoim błędnym locie:
Myśl kołysze się pod niebem,
Ty się czołgasz w błocie.

Myśl, psotliwa czarownica,
Omamia pochlebną
Cię ponętą i wprowadza
Na zgubę niechybną.

Za obłokiem, światłem, gwiazdą
Myśli — wolno płaszać;
Oka — rzeczą, czarodziejskie
Kształty w nic roztrząsać.

Serce i oko.

(Podług Łacińskiego.)

Jeśliś jeszcze nie doświadczył,
Jak się serce z okiem spiera:
Nie wiesz, czemu to się śmieje,
Tam-to z żalu obumiera.

Serce tak wymawia oku:
Tyś wszystkiego złego bramą, —
Tobie straż jej powierzono,
Ale ty ją zdradzasz samo.

Samo zwabiasz wrogów na mnie
I mię słodkim jadem poisz, —
Morzem łez nie zmyjesz winy
Swojej, a mych ran nie zgoisz.

Nabożeństwo mi zatruwasz,
Żal zamieniasz na katuszę, —
Ach, a wyrwać cię nie mogę,
I tak z tobą zginąć muszę! — —

Na to rzecze sercu oko:
Twoja skarga jest niesłuszna:
Czyś ty nie jest panem, ja zaś
Tylko sługa twa posłuszna?

Kiedym ja to bez twej wiedzy
Wrogów wrzekomo wpuściło?
Kiedym cię to wbrew twej woli
Słodką trucizną poilo?

Ileś razy zażądało,
Udzieliłom ci opieki;
Skoroś tylko rozkazało,
Zaraz spuściłom powieki.

Jeśli cierpisz, toć nie moja,
Ale twoja własna wina:
Bo nie z oka, ale z serca
Wszelkich grzechów byt zaczyna.

Tak się kłócą; ale oba
Grzeszą jednaką zdrożnością:
Boś ty — serce: źródłem grzechu,
A ty — oko: sposobnością.

Ostróżność.

Słońce co wieczór zachodzi
Ginąc w otchłani pomroki,
Ale co rano obłoki
Przebija i piękniej wschodzi.

Chociaż kwiat w jesieni ginie,
Mrozu trucizną rażony,
Ciepłem słoneczka zleczony
Znów się na wiosnę rozwinie.

Lecz gdy śmierć nieubłagana
Z pośród nas wyrwie bliźniego,
Nie ma powrotu dla niego,
Nie ma ni wiosny ni rana.

Nie chciej brata więc zasmucić;
Skoro bowiem legnie w grobie,
Próżny żal zostawi tobie,
A słowo nie da się wrócić.

Tęcza.

I.

Rozuzdane wiatry powiązała zgoda,
Poważnione drzewa szarpać się przestały,

Nieba, co przed chwilą piorunami grzmiały,
Ozłociło słońce, zalała pogoda.

Wystraszona walką żywiołów przyroda
Wraca do spokoju, jak rumak żymały,
Kwiaty, kłosy, lasy, ptastwo i świat cały
Ogarnęły znowu cisza i swoboda.

Az chmur pierzchających siedmiobarwna wstęga
Tęczy wystrzeliła: czołem słońca sięga,
A skrzydłami chwyta ziemię na znak zgody.

Bowiem pan żywiołów nie chce gubić niemi, —
Których sobie stworzył — człowieka i ziemi,
Aż pod jednym znakiem połączy narody.

II.

Minęły dziecięce lata i swawole,
Ostygła burzliwa gorączka młodości;
Mężna skrępowwała wola namiętności,
Duch spokoju osiadł na zmarszczonem czole.

Za tobą roztacza się żywota pole:
Walka złego z dobrem, zawody miłości,
Niemej łzy boleści, okrzyki radości, —
Za tobą owoce, za tobą kąkole. —

Nie trwóż się przed czasem! Gdy na śmierci łożu
Ostateczna burza będzie chciała w morzu
Zgryzot cię zanurzyć, smutku, wątpliwości:

Nie dawaj do siebie przystępu rozpaczy,
Bóg ci znak spokoju wtedy wskazać raczy:
Swą tęczę nadziei, wiary i miłości!



Do pierwiosnki.

Witaj luby kwiatku,
Pierworodny wiosny,
Coś wczesnym powrotem
Ubiegł wonną bracią,
Witaj, pierwiosnko!

Lekkim snem uśpiona
Najprzód dosłyszalaś
Lekki szelest skrzydeł
Wracającej wiosny,
Witaj, pierwiosnko!

Żywoś się ocknęła,
Skoro pocałunkiem
Gorącym marcowe
Słońce cię dotknęło,
Witaj, pierwiosnko!

Zawczasu wróciłaś,
Aby zwiastowanie

Najświętszej Paniarki
Wszechświatu zwiastować,
Witaj, pierwiosnko!

Aby odrodzenie
Ludzi i przyrody
W dniu tym nam przypomnieć,
Wracasz z Wielkanocą,
Witaj, pierwiosnko!

Aby w nas odświeżyć
Wiarę i nadzieję,
Że i my wstaniemy
Z grobu, wracasz z wiosną,
Witaj, pierwiosnko!

Razem ze skowronkiem
Przybywasz powitać
Kmiotka orzącego
Już na bożem polu,
Witaj, pierwiosnko!

Kmiotek rzuca z ziarnem
Swe nadzieje w rolę,
Widok twój nadzieję
Sieje w duszę jego,
Witaj, pierwiosnko!

Za twojemi ślady
Idzie pewna wiosna,
Chociaż mgły i wiatry
Czasem zamajaczą,
Witaj, ^o pierwszoko!

Przetoś nam rękojmą
Jest nowego lata,
Przeto też i godłem
Nam odwiecznej wiosny,
Witaj, pierwszoko!

Ostatnia piosenka wiosenna.

Czy zamięszanie w gwiazdach nastąpiło,
Czy naszej starej ziemi sił ubyło?
Bo iście dziwniej, niż dziwnie się plecie
Teraz na świecie!

Z dziećmi, wieszczami i ptaszęty dzielę
Tęsknotę, licząc miesiące, niedziele,
Aby zawczasu krzyknąć po zwyczaju:
Witaj nam, maju!

Ale niewierny maj na to nie zważa;
Bo choć już czerwiec podług kalendarza,
W przyrodzie dotąd jeszcze berło trzyma
Marzec i zima.

Słoneczko by miesiąc, blade i chłodne,
Ptactwo się puszy i kwili, bo głodne;
A kto do lasu wyszedł bez kożucha,
Ten w ręce chucha.

To się rok rocznie dawno już powtarza
Wbrew prawom poetów i kalendarza;
Zatem szanując nową wolę nieba
Poddać się trzeba.

Pieśnią więc, maju, do ciebie podobną:
Bez woni i wdzięku, chłodną, żalobną,
Ostatnim głosem z straconego raju,
Żegnam cię, maju!

Raz tylko.

Raz tylko odradza się co rok
Cudowna postać przyrody,
Raz tylko odmładza się ziemia,
Tryskają obfitsze brody.

Raz tylko się stroją w wzorzystą
Sukienkę lasy i góry,
A wtenczas — raz tylko się budzą
I ptasząt wiosenne chóry.

Raz tylko, raz w życia zaraniu
W świętem zaciszu rodzinnem,
Tam mieni się człowiek szczęśliwym,
Bawiąc złudzeniem niewinnem.

A wtenczas, dopóki żywota
Wiosnę nadzieja olśniewa,
Raduje się młodzian z całego
Serca i kocha i śpiewa...

* * *

Raz tylko się srebrzą w kłosistej
Sukienice pola i błonie,
A sady i leśna murawa
Roznoszą owoców wonie.

Raz tylko do roku zbierają
Z winnej macicy jagody;
Raz tylko też strzyżą owieczki
I zapuszczają niewody.

Raz tylko przyświeca nam słońce
Życia i łaski i wzywa
Do pracy, cierpienia, pacierza,
By hojne zapewnić żniwa.

Raz tylko, zamknawszy na długi
Sen już znużone powieki,
Przebudzim się, aby się cieszyć
Lub płakać, płakać — na wieki...

Prawda i pozór.

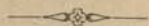
Kto odgadnie, niech mi powie,
Co te oczy rozjaśniło?
Czy te rzęsy radość, smutek,
Czy wspomnienie łzą zwilżyło?

Kto odgadnie, niech mi powie,
W co te lica się przybrały?
Czy namiętność, czy zgryzoty
Na nie krasę swą wylały?

Kto odgadnie, niech mi powie,
Co porusza owe usta?
Czy życzliwość serca albo
Kłątwa bezbożna i pusta?

Kto odgadnie, niech mi powie,
Co to serce niepokoi?
Czy mu smutny, czy wesół
Widok przed oczami stoi?

Kto odgadnie, niech mi powie,
W co się nurzy owa dusza?
Czy ją miłość, czy nienawiść,
Aniół albo szatan wzrusza?



Cmętarz zaniedbany.

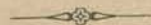
Za wsią pewną ogród cichy,
Ścieżki w nim zarosły trawą,
Luźna furtka i płot lichy
Wiatrów stały się zabawą.

Choć w ogródku pełno grządek,
Długie, krótkie, wielkie, małe,
Wszędzie razi nieporządek,
Brud i kwiaty wynędzniałe.

Tam się chyli sucha brzoza,
Tu się wali krzyż z starości;
Tam się bieli — czy nie zgroza?
Czaszek stós i ludzkie kości!

Bo dla jednych cmętarz wstrętny
Widok, jak mnich rozpustnikom,
A dla drugich obojętny,
Jak popielec zapustnikom.

Bo to cmętarz widok wstrętny
Dla ocz, co się w świat wlepiły:
Więc lud nieba niepamiętny
Zaniedbał ojców mogiły.



Straty i zyski.

Żal i smutek mnie ogarnia,
Gdy minione wspomnę lata,
Bo wspomnienie prawie każde
Znaczy tyle mi co strata.

Stratą to, że wiosna życia
Niepowrotnie uleciała,
Która bujną wyobraźnią
Świat na raj mi zamieniała.

Z nią znikł czarujący urok,
Który lzy i bóle zgaślił
Me dziecinne, który śmiechy,
Pracę i zabawę krasilił.

Nie rozumiem już, co ptaszki
Sobie w piosnkach powiadają,
Nie rozumiem też, co źródła
Mruczą i drzewa szeptają.

Zapomniałem czytać w gwiazdach,
Już nie gonię za chmurkami,
Już nie tęsknię za minionych
Wieków i ludów czynami.

Niecierpliwość wakacyjna
Mnie przy książkach już nie trawi,
Ni ciekawość, jaką gwiazdka
Niespodziankę w domu sprawi.

Już nie liczę lat i niedziel,
Co naukom kres położą,
Ach, nie wierzę, co marzenia
O późniejszych latach wróżą.

Jedno, drugie jeszcze stracił,
Lecz nie powiem: wiele — mało,
Bo w zamianie mi niejedno —
Może lepsze? — się dostało.

Gdziem się dawniej śmiał lub płakał
Nieświadomie lub z płochości,
Umiem dziś używać cicho
Albo znosić w cierpliwości.

Gdzie fantazyja swawoliła
I goniła piękne cienie:
Tam rozwaga rządzi dzisiaj,
Działa rozum i sumienie.

Jedno zwłaszcza niezmienione
Było, jest i pozostanie:
Wiara, miłość i nadzieja
W Boga, cnotę, zmartwychwstanie.

Ostatnie życzenia.

Gdy raz umrę, życzę sobie:
Aby stanął przy mym grobie
Choćby jeden, nawrócony
Słowem mojem; z drugiej strony
Jeden, co za mą przemową
Duszę swą zachował zdrową;
Wkoło łudek nasz serdeczny
Westchnął za mój spokój wieczny;
Dziątek polskich zaś drużyna
Śpiewała: Salve regina!

Młodość.

Wprost przez rozhukane wody
Pędzi wątlą życia łódź
Mimo skał, przez wiry, brody
Ochoczo zuchwała młodź.

To zawita, gdzie kwiatami
Brzeg, a cieniem wabi dąb,
To się wdziera, gdzie skarbami
Ukrytemi nęci głąb.

Gdy jej słońce twarz swą skryje,
To na krótki tylko czas;
Dla niej morze, choć zawyje,
Pewne jak drzemiący las.

Bo nad nawą hożej młodzi
Czuwa dobrych duchów tłum,
I bezpiecznie ją przewodzi
Mimo skał przez wałów szum. —

Płyn więc śmiało, w świat, młodzieży,
Bo pomyślny tylko los
Sprzyja temu, co weń wierzy,
I wstrzymuje grom i cios.

Szukaj szczęścia rąco, śmiało,
Jak daleki morza brzeg;
Gdyby dognać się nie dało,
Przytrzyma sędziwy wiek.



Lipa słowiańska.

Lipo słowiańska, ty moje kochanie,
Ozdobo lasów ojczystych,
W tobie najszczerze me upodobanie
Z ślicznych drzew naszych cienistych!

Kto chce, niech chwali więc laury, morele,
Palmy i cedry libańskie:
Z niemi wszystkimi ty mierzysz się śmiecie,
Lipowe drzewo słowiańskie.

Wszystkim się równa wzrostu wspaniałością
Korona twa rosochata,
Wszystkie przewyższa zaś liścia świeżością,
Ślodyczą i wonią kwiata.

W lipowych więc lasach nasi ojcowie
Radzi na wiec zasiadali,
A że tam mieszkać lubili bogowie,
Tam im ofiary składali.

Wzniosły się z czasem kościółki i grody
Wiencami lip opasane;
Tam dzisiaj święcą pobożne obchody,
Jak niegdyś świetne wygrane.

Tamto co wieczór gromadzi się siolo
Siedząc na pulchnej murawie,

Starzy tam lubią gawędzić wesoło,
Młodzi się oddać zabawie.

Oby się kiedyś, jak kmiecie i grody
Gromadzą pod lipy swoje,
Tak się w tem godle słowiańskie narody
Złączyły jak pszczołek roje!

Kto chce, niech chwali więc laury, morele,
Palmy i cedry libańskie;
Z niemi wszystkimi ty mierzysz się śmiecie,
Lipowe drzewo słowiańskie!

Nasz oręż.

Dalej, bracia, do oręża,
Który nigdy nie zawodzi;
Nie zaczepia, a zwycięża,
Rani, chociaż w krwi nie brodzi!

My ubodzy — dział nie mamy,
Ani broni i pieniędzy;
My bez sprzymierzyńców — sami
Radźmy tedy o swej nędzy!

Ale bo nas dziś armaty
Nie wybawią i warownie:

Nam twierdzami dziś warsztaty,
Dwory, szkoły i pracownice.

Nam wojenną sztuką — praca,
Bronią — wiedza lub narzędzie:
Co kto umie, to popłaca,
Byle robić — zawsze — wszędzie.

Sierpy — kosy — pily — młoty
Naszą ulubioną bronią,
Gdy nam wśród skrzętej roboty
W polu lub warsztacie dzwonią.

Naszą bronią — słowo dzielne,
Prawem i mężstwem natchnione;
Bronią — pieśni nieśmiertelne,
Bo nadzieją namaszczone.

Naszą bronią — pacierz rzewny,
Korny, zbożny, pełen skruchy;
A że szczerzy, skutku pewny,
Przeto pełen też otuchy.

Naszem hasłem: Bóg i wiara!
Naszem godłem: miłość, zgoda!
Naszą siłą: to ofiara!
A wygraną: to swoboda!

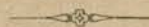
Pod takimi znaki wrogów
Zwyciężymy i wyprzemy

Daleko z ojczystych progów,
Lecz oręża nie złożymy!

Bo choć wroga zewnętrznego
Z kraju swego wypędzimy,
Dopiero gdy domowego
Zniszczym, przyszłość utrwalimy.

A tym wrogiem — to próżniactwo
I wygodki niepoehlebne,
Niedołęstwo i partactwo
I potrzeby niepotrzebne.

Hej więc, bracia, do oręża,
Który każdy dźwigać może:
Kmiecie, rzemieślnicy, księża
I niewiasty — w imię Boże!



Nasze hasło.

Pędzą jak na skrzydłach lata,
Z niemi jak w odmętach wody
Przepadają państwa świata,
Ale nie giną narody,
W których sercach nie wygasło
Wielkich ojców wielkie hasło:
Kochajmy się! Kochajmy się!

Sześć już wieków, jak od matki
Łona Ślązk nasz oderwano,
Odkąd na łup obcym dziatki
Wspólnej ojczyzny wydano;
Bo nas starsi nie bronili,
Choć nas hasła nauczyli:
Kochajmy się! Kochajmy się!

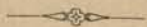
Wróg zagarnął, rwąc ogniwa,
Jakie z bracią nas łączyły;
Ślepa zazdrość, żądza chciwa
Dzieło ojców nam zniszczyły;
Tylko pamięć nam została,
Która hasło przechowała:
Kochajmy się! Kochajmy się!

Naszą młodź na łonie matek
Gardzić Polską wróg naucza;
Zniemczył zamki, miasta, — z chatek
Mowę ojców dziś wyklucza;
Ale póki siły stanie,
Ślązk się bronić nie przestanie:
Kochajmy się! Kochajmy się!

Nigdy nie wygaśnie polska
Cnota w wiernych sercach naszych;
Nie zapomni młodź opolska
I gliwicka zalet laszych,

Hasła też, co w spadku wzięła,
Jakiem Polska zasłynęła:
Kochajmy się! Kochajmy się!

Niechaj cnoty więc ojczyste
Znowu, bracia, w nas ożyją,
Zabrzmi hasło święte, czyste
Tam, gdzie się Ślązacy biją,
Cierpią, pracują za sławę
I za wszelką polską sprawę:
Kochajmy się! Kochajmy się!



Pieśń towarzyska.

Bracia, nuż do koła,
Gdzie radość nas woła;
Do wina, do piwa
Siadajmy wraz!
Niech »serdecznych« rzesza złośliwa
Z gniewu się unosi,
Śmielej radość naszą niech głosi
Dziś każdy z nas!
Ne pojdemy do dom, az rano,
Az bude switano;
Ne pojdemy do dom, az rano,
Az bude den!

Niech tedy przy szklance
I przy pogadance,
W zgodzie i szczerości
Brzmi polski śpiew!
Niechaj sarka, kto chce, z zazdrości,
Nas zmieszać nie zdoła:
Zgoda, wino, piosnka wesola
Ogłuszą gniew!

Ne pojdemy do dom, az rano,
Az bude switano;
Ne pojdemy do dom, az rano,
Az bude den!

Co wino, nie woda,
Gdzie przyjaźń, tam zgoda,
Kto z nami, niech pije
I poda dłoń!
Niechaj drogi Górny Ślązk żyje
I język ojczysty,
Taki zawsze śpiew nasz ognisty:
Tu na to dłoń!

Ne pojdemy do dom, az rano,
Az bude switano;
Ne pojdemy do dom, az rano,
Az bude den!



Do Józefa Lompy.

Nie chce Cię, panie Józefie, wychwalać
Podnosząc w niebo w poetycznym locie,
Ani kadzidel próżnych Ci zapalać,
By nie ubliżyć Twojej skromnej prostocie.

Ale hołd złożyć, jaki Ci należy,
Uczcić Twą pamięć, jestto obowiązkiem,
Oraz przyjemnością dla nas młodzieży,
I jak myślimy, pokazać przed Ślążkiem.

Bo Ty, wieszczu ślążki, śmiały a skromny,
Sam najpiękniejszy sobie wystawiłeś,
Trwalszy nad kruszec pomnik wiekopomny,
A swoje imię cnotą uświetniłeś.

Boś nie wystąpił dla zysku i sławy,
Lecz w ojczystego języka obronie
Mężnieś się ujął zaniedbanej sprawy
Z ogniem młodzieńczym, jaki w wieszczu płonie.

W domowym zaciszu jak ogrodowy
Swe proste, polne chodowałeś kwiatki,
A miłość własną do ojczystej mowy
Z nauką wszczepiał w zlecone Ci dziatki.

Takeś nam przykład zostawił stałości,
Zapału i mężstwa niezachwianego,
I wzniecił iskrę drzemiacą miłości
Znow do języka, od ojców wziętego.

Moja ojczyzna.

Znasz-li tę ziemię, co z swych kruszców słynie,
A lud z ubóstwa i rzadkiej prostoty?
Gdzie drogi kruszec w obcych ręce płynie,
A ludek w sercu kosztowniejsze cnoty
Przed cudzem okiem i światem ukrywa,
By nie sięgnęła po nie ręka chciwa?
Znasz ty tę ziemię, znasz ten lud pocziwy,
Znasz, przyjacielu, naszych chłopków serca?
Och, znasz je może, jak ci je kłamliwy,
Jak cudzoziemczy opisał oszczerca! —
Lecz spojrzysz i poznaj okiem życzliwym,
A przejmiesz się dla nich czcią i podziwem.

✱ Ślążku mój! — Słowo cudnego uroku.
Ojczyzno! — Węźle uczuć tajemniczy.
Nie zdołam wezbranych myśli już toku,
Ni z rzewnych uczuć czerpanej słodyczy
W milczeniu stłumić! Więc niech się łyż leją,
Myśli swobodnie sobie pobujają,

Słodycz i gorycz niech serce koleją
Karmią, aż w rozkosz cierpienia rozstają.
Ojczyzna ślázka, nad wszystko ceniona,
Od cudzoziemczej głupoty wzgardzona,
Wzgardę niesłuszną niweczą twe syny
Kochając i ceniąc nad wsze krainy.
Gdzie Odra poważna toczy swe wody
Śród ciemnych lasów i łąnów kłosisłych;
Gdzie schludne domki, spokojne zagrody
W dolinach i na wybrzeżach spadzistych,
Jak na kobiercu kwiaty rozsypane;
Gdzie się po polach pieśni rozlegają
W drogim po ojcach języku śpiewane;
Gdzie w kniejach dziki i łanie bujają,
I gdzie z kominów niebotycznych chmury
Dymu się wiją, płomienie buchają,
A młoty w kruszec jakby taran w mury
Z traskiem piorunu stale uderzają;
Gdzie skarby dobywa ukryte w ziemi
Ludność potulna, z uczciwości znana,
Przebiegłych przybyszów bogacąc niemi:
To moja ślázka ojczyzna kochana! X

Gdzie w duszy ludu jędrne czucie żyje
Dla polskiej niegdyś matki i ojczyzny,
Na jej wspomnienie serce żywiej bije,
Gdy patrzą — wyrzuci z swej ojcowizny —

Na dawne czasy jak na senne mary;
Gdzie miłość bratnia sąsiadów kojarzy
I kmieciów falanga stoi na straży
Swej mowy ojcowskiej i świętej wiary,
Chociaż od obcych wzgardzona, od braci
Starszej nie wsparta, nawet źle widziana,
Jednak nadziei i ducha nie traci:
To moja ślázka ojczyzna kochana!

Tam gdzie góra chelmska w dziedzinie Piasta
Jakby olbrzymi dom boży wyrasta;
Gdzie Panna najświętsza łaskami słynie
W Piekarach, Pszowie, Lubecku, Ostrogu,
Dokąd pobożny lud powodzą płynie
Z dalekich krain pokłonić się Bogu
I mu polecić w tej doczesnej doli,
Co kogo cieszy, zatrważa lub boli;
Gdzie ziemia płodna i w kruszce i zboże,
Lecz w cnoty płodniejsza i sługi boże, —
Bo to ojczyzna Jacka i Czesława
I Bronisławy i Sarkandra Jana,
Błogosławionego ojca Germana,
Jadwigi z synem, która wciąż dostawa
Blasku tej krainie, — niegdyś jej księżna,
A dzisiaj jej opiekunka potężna:
Gdzie taka rzesza ludności przewodzi,
Która śladami jej od wieków chodzi

Chrześcijańską drogą pracy i cnoty,
Cierpienia i staropolskiej prostoty, —
Ta dzielna ziemia, niecznie spotwarzana:
To moja słazka ojczyzna kochana!

Pieśń sierota.

Nad rzekami Babilonu,
Na wygnaniu w obcej ziemi
Siedzą synowie Syonu
W smutku pogrążeni, niemi.

Na płaczących wierzbach wiszą
Rozstrojone święte lutnie,
Z wiatrem stepu się kołyszą,
A ich struny jęczą smutnie.

Boć nie godzi im się śpiewać
Wrogom Judy, choć ciekawym,
Bo gotowym się naśmiewać
Izraela pieniom krwawym. —

Ale smutniej w słazkiej ziemi
Dzisiaj polskich pieśni wieszczom,
Co się darmo między swemi,
Darmo z swojską lutnią pieszczą;

Darmo prawią o piękności
Ojczyzny i przodków sławie,
I wzywają do czynności
I do służby w świętej sprawie.

Jedni na nich nie słuchają,
Drudzy już nie rozumieją,
Inni ramiony ruszają,
A wyrodki z nich się — śmieją!...

Słazki wieszczu polskiej pieśni,
Ot, godzina twa wybiła,
Zamilcz więc, jak ptacy leśni,
Których zima zaskoczyła.

Zerwij struny dźwiękopłodne,
Dumek już i żalów nie śnij,
I rzuć ziomki twe niegodne
Zapomnienia rdzy i pleśni!

* * *

Wieszczu! Otrześ się z zwątpienia,
Porzuć myśli smętne czarne:
Twoje bole — to marzenia,
Twoje żale — dzisiaj marne.

Zbudź się z smutku, spojrzysz w koło,
Otwórz serce, nadstaw ucha:

Rozpogodzi ci się czoło,
W duszę wstąpi ci otucha.

Ot — minęła zima długa,
Która ludęk nasz studziła;
Dziś ten lud oświaty struga
Z wiekowego snu zbudziła.

Jak się z wiosną budzą gaje,
Świeży liść i wiatr szeleści,
Tak śród ludu szmer powstaje,
Który nową wiosnę wieści,

Wiosnę ludu, czynu, słowa:
Wejź znów lutnię — precz z skargami,
A na Ślązku zabrzmie nowa
Pieśń radosna, bo Bóg z nami!



Do sióstr wygnanych z kraju.

+ Żegnam was, czcigodne siostry,
Które ukaz groźno-ostry
Wyrzucił za własny próg!
Dokąd pójdziem? Nie pytajcie;
O jutro się nie lękajcie,
Wszak o tem pamięta Bóg.

Idźcie; — bo wasza ojczyzna
Polska gościnną i żyzną,
W której płynie mleko, miód,
Nie ma miejsca już i chleba
Dla swych dzieci, bo nim trzeba
Cudzoziemców karmić głód.

Idźcie śmiało; — bowiem wszędzie
Kto uczciwy, rad wam będzie,
Chętnie wam otworzy dom,
Z wami chlebem się podzieli,
A na waszych gnębicieli
Rzuci zasłużony srom. +

Gdzie zaś nasze tu kaleki,
Wdowy rady i opieki
Pójdą sobie szukać, gdzie?
Ci, co śpią pod gołym niebem,
Żyjąc uproszonym chlebem,
Mają złożyć głowy swe?

Komu nasze biedne matki,
Mają teraz drobne dziatki,
Pod opiekę pewną dać?
Kto ma karmić nam sieroty,
Uczyć pacierza i cnoty,
Kto ma odtąd o nie dbać?

W waszych celkach, gdzie od rana
Do wieczora brzmiała Pana
Chwała i pobożna pieśń,
Smutne zasiędzie milczenie,
Strzedz ich będzie opuszczenie,
Zdobić będzie pył i pleśń...

Idźcie, — a niech Bóg was wiedzie
I pociesza w wszelkiej biedzie,
Przychylnym uczyni świat:
Wszystko ach, wam dadzą w świecie,
Ale nigdzie nie znajdziecie
Polskich serc i polskich chat!

Lecz choć morza i pustynie
Nas rozłączą, nie wyginie
Nigdy wasza pamięć tu:
Boemento przy ofierze
Każdodiennej i pacierze
Ją odświeżą w każdym dniu.

Żegnam was więc, godne siostry,
Które ukaz groźno-ostry
Wyrzucił za własny próg!
O nas zawsze pamiętajcie,
Na wrogów się nie gniewajcie,
Bo mścicielem waszym Bóg!

Boża męka w lesie.

Wśród dąbrowy, wieńcem bluszczu
I róż leśnych ocieniona
Wznosi prosta boża męka
Ku niebiosom swe ramiona.

Ranna i wieczorna zorza
Złotym blaskiem ją olśniewa,
Ptastwo leśne nieustannie
I najpiękniej przed nią śpiewa.

Kto ją stawiał? — Niewiadomo —
Ani kiedy? W jakim celu?
Dość że była, — bez pacierza
Przechodziło więc nie wielu.

Jeden westchnął za swe grzechy,
Drugi wspomniał zapomniane
Dusze w czyśćcu, każdy dusze
Fundatorów, Bogu znane.

Tu niejeden złożył ciężkie
Brzemie smutku i żalości,
A niejeden się odwrócił
Z twardej drogi nieprawości.

Jak ten krzyż, tak każde dobre
Dzielo nieustannie głosi
Chwałę bożą, a stokrotną
Sprawcy nagrodę przynosi.

Wierzba.

W pustem polu wierzba dzika
Nieforemna, niewesoła,
Biedna — kroku wędrownika
Ku sobie zwabić nie zdoła.

Bez owocu i bez woni,
Nawet cienia liść nie daje,
Więc i ptastwo od niej stroni,
Ciagnąc bokiem w piękne gaje.

Nie dziw, że się wierzba dąsa,
A widząc w drugich przyczyny
Swego żalu, — drugich kasa,
Nie chcąc przyznać się do winy.

Tak się wierzba ciągle gniewa,
Ale w niczem się nie zmienia:
Każdy więc unika drzewa
Bez owocu i bez cienia. —

Chcesz, by drudzy cię szukali:
Stań się dla nich pożytecznym;
Chcesz, by drudzy cię kochali,
Bądźże i ty dla nich grzecznym!

Mój Ćwiczek.

Łaskawego czytelnika
Proszę, się nie gniewać,
Że na chwałę mego Ćwika
Nawet śmiem zaśpiewać.

Ale bo to pies nie lada,
Nad wyżły, ogary!
Żadna go nie szpeci wada,
Chyba, że już stary.

Boć dwanaście lat, i dłużej
Z niezmienną ochotą
Mi ten piesek wiernie służy,
Oj, szczerzy nad złoto!

Że się zna na różnych sztukach,
Samo się rozumie,
Tylko ledwie, że w naukach
Abecadło umie.



Słowem, pies to, co się zowie,
I jego przymioty...
Ale mi niejeden powie:
Same to psie cnoty!

Wszak i prawda, nie dlatego
Chciałem Ćwiczka słać,
Boć to rzeczą psa każdego
Lasić się i bawić.

Ale w innej przecie mierze
Staje się wspomnienia
Godnem nierozumne zwierzę,
Nam dla napomnienia.

Z przeproszeniem — bez obrazy!
Czy ta biedna psina
Nie zawstydza wiele razy
I chrześcianina?

Kto z nas chowa z tąż wiernością
Boże przykazania?
Kto odbiera z uległością
Równą strofowania?

Kto przyjmuje niezliczone
Dobrodziejstwa boże
Wdzięczniej, — znosi zasłużone
Każnie w tejż pokorze?

Kto w swej służbie tak gorliwym,
Tak w słuchaniu skorym?
Kto śmie, nie chcąc być chępliwym,
Zmierzyć się z tym wzorem?

Czy więc Ćwik mię rozwesela
Czy służby pilnuje,
Widzę w nim nauczyciela,
Więc go naśladowę.

Człeku więc, z rozumu dumny!
Dowieść, żeś istotą
Wyższą, niż zwierz nierozumny,
Możesz tylko cnotą!

Mądrość świata.

Wszystko na tym bożym świecie
Ma swe miejsce, ma swój czas:
Krakaj więc jak wrony przecie,
Jeśliś między wrony wlaź.

Kto ci się pozwoli użyć,
Przed tym się z grzecznością skłoń;
A gdy ci się nie da zdurzyć,
Wskaż mu choć w kieszeni dłoń.

W świętą ośłoń tajemnicę,
Gdy drobnostkę musisz dać;
Śmiało wyciągnij prawicę
I lewicę, gdy masz brać.

Nie odmów, gdy zapraszają,
Choćby za dwóch jedz i pij;
Gdy usługi twej żądają
Lub świadectwa, to się skryj.

Gdzie wołają: biało — biało,
A gdzie: czarno — czarno, też
Wołaj z nimi; gdyby miało
Przyjść do sprzeczki, ej to bież!

Zdrajca sprawy narodowej,
Kto na wroga kreskę da!
Lecz co jeden głos stanowi?
A tam stoi lantrat — sza...

Zdrajca, ktoby szczyptę ziemi
Polskiej w obce ręce zbył, —
Byle pomiędzy obcymi
Nie więcej dający był.

Tak to wszystko na tym świecie
Ma swe miejsce, ma swój czas:
Krakaj więc jak wrony przecie,
Jeśliś między wrony wlaź.

Przestroga.

Gdy się pąkówka otwiera,
Główkę skromnie wznosząc,
Oczkiem ku światłu przeziera,
Przyszłą krasę głosząc:
Ten ją zrywa, co lekkim obdarzony duchem.

Ale zbyt krótko się cieszy
Swym przedwczesnym łupem:
Pączek więdnije i spieszy
Wkrótce upaść trupem:
Tak opłaca swą chciwość i lekkiego ducha.

Chcesz więc swą radość przedłużyć,
Z kwiatów woń dobywaj;
Nie chciej nigdy gwałtu użyć,
Przed czasem nie zrywaj:
Naśladuj ogrodnika, będziesz miał owoce.

* * *

Kto z uczonej ciekawości
Z barwnych listków kwiat obdziera,
Kto z rzekomej gruntowności
W rządki, w słowa pieśń rozbiera:

Niechaj dziwić się nie raczy,
Jeśli więcej nie zobaczy,
Jak lodygę, listki suche —
Myśli proste, słowa głuche.

Stare myśli w nowej szacie.

UMIARKOWANIE.

Nie żałuj, nie tęsknij za tem, co było;
Nie zrażaj się, nie trwóż zbytnie przyszłością;
Oblicz się z chwilą, czy przykrą czy miłą:
Cierp lub zażywaj z miarą i godnością.

PRAWDZIWE SKARBY.

Niech zajądą, co chcą; nikt nie pozazdrości:
Ubóstwa, pokory i szlachetności.

NADZIEJA I WSPOMNIENIE.

Jak zorza wieczór krasi, tak wspomnienie
Szczęśliwszych czasów łagodzi cierpienie;
Jak ranna zorza wesóły dzień wieści,
Tak serce w smutku nadzieją się pieści.

SERCE LUDZKIE.

(Słowo św. Augustyna.)

Dla ciebieś nas stworzył, dla ciebie Panie;
Więc serce nasze tęsknić nie przestanie

Albo się trwożyć w niepowodzeń znoju,
Póki w twem sercu nie znajdzie spokoju!

POŚWIĘCENIE.

(Słowo św. Augustyna.)

O gdyby lampą serce moje było,
W niej się me ciało płomieniem spożyło
W twej służbie, Panie, — płomieniem miłości,
Ażby się duch mój wyzuł z doczesności!

PRAWDZIWA PRZYJAŹŃ.

Pomnij, dopóki się szczęście uśmiecha,
Stanie doradców i przyjaciół wiele;
Gdy z szczęściem znikną zwolna przyjaciele,
W Bogu jedyna rada i pociecha.

DOŚWIADCZENIE.

Jak wino zmysły, tak szczęście i zdrowie
Serce upaja i ducha odurza.
Lecz gdy cierpienie, niepowodzeń burza
Człeka ostudzi, dopiero się dowie,
Co w jego czynach upojenia szalem,
A co rozwagi w nich było udziałem!

KRÓTKOŚĆ ŻYCIA.

Tak się rozkładasz na stacyi, mospanie,
Jakbyś zamierzał zabawić tu dłużej? —

Po krótkim popasie przed tobą stanie
Śmierć i zawezwie do dalszej podróży.

PIENIĄDZE.

Wszechwładne pieniądze, nie ma na świecie
Niepodobieństwa dla was! Wy dajecie
Wdzięku potworze, dowcipu głupiemu,
Męztwa tchórzowi, bystrości sędziemu.
Wam się warowne grody poddawają;
Z uszanowaniem na głos wasz zważają
Pany i chłopcy; do was się kobiety
Umizgają, nawet dzieci niestety!
Dość, za pieniądze wszystko do nabycia:
Rozum, zaszczyty i wygody życia;
Jedno nie kupisz: dobrego imienia,
I cnoty i spokojnego sumienia.

PRACA.

Praca podnosi cię i uszlachetnia,
Gdy żądzę zysku roztropnie miarkujesz.
Lecz pracą zbyt chciwą zysku się podlisz
I sam niewoli sromotą piętnujesz.

POŻYTEK CIERPIEŃ.

Gdy cię boleść tłoczy i rozpaczliwa
Skarga na usta z duszy się wyrywa;

Wspomnij, jak kruszec nabiera poloru
W ogniu, a winna macica koloru,
Słodczy i siły w słonecznym skwarze,
A wonna róża chodzi z cierniem w parze.

POŻYTECZNE A PIĘKNE.

Dalipan, groch i siano pożyteczne,
Gęsi i kaczki też pochwały godne;
Lecz śpiewające chóry różnorodne,
Róże i jaśmin bodaj nie zbyteczne!

MODLITWA I PRACA.

Módl się i pracuj! — Oto dwa ramiona.
Więc nie wystarcza wzdychać: Panie Boże!
A gnuśno ręce przykładają do łona:
Pracowitemu tylko Bóg pomoże.

DLA NAS WSZYSTKICH.

W Bogu wiara,
Z siebie ofiara,
W pracy wytrwałość,
W nieszczęściu stałość,
A w szczęściu zgoda,
I rzędna zagroda —
To nas kiedyś zbawi
I Polskę postawi.

OJCZYSTA MOWA I WIARA.

Skoro się wstydzisz swoich przodków gwary,
Wnet się zawstydzisz i wyprzesz ich wiary.

JAŁMUŻNA.

Złota jałmużna ciepłą ręką dana,
Srebrna w konaniu, po śmierci drzewiana.

PRAWDZIWA ŻYCZLIWOŚĆ.

Wszędzie znajdziesz zawsze skorych
Do jałmużny, do pomocy,
I gotowych we dnie, w nocy
Odziać nagich, cieszyć chorych.
Ale znaleźć tak prawdziwe
Serce, coby i życzliwe
Radość z czci twej podzielało, —
Nie wiem, czy ci się udało.

NAJWIĘKSZE CIERPIENIA.

W trójnasób wzięte ciała i żywota
Uciski i trudy nie dokuczają
Tak, jak złość ludzka i własna głupota
Bezmyślnie sobie rade dojadają.

DOSKONAŁOŚĆ.

Dopóty nie znajdziesz w duszy spokoju
I nie postąpisz ku doskonałości,
Dopóki się wyrzec nie zechcesz roju
Zbytecznych potrzeb i wspomnień przeszłości.

SERCE I GŁOWA.

Kto się tylko sercem rządzi,
Zbyt łatwo błądzi;
Kto się tylko głowy radzi,
Często zawadzi.
Lecz gdzie głowa z sercem w parze,
Tam i prawda się ukaże.

PEWNY WYBÓR.

Gdy głowa z sercem, ciało z duchem w sporze
Ciągną w różne strony; wtedy w wyborze
Swoim nie chybisz, gdy nie powabniejszą
Sobie obierzesz drogę, lecz trudniejszą.

DO WYCHODźCÓW.

Wrzekomo, że cię wyżywić nie może
I z twą rodziną pomieścić ojczyzna, —
Polska szeroka — bogata — i żyzna!
Chcesz ją porzucić, wynieść się za morze?
Kłamiesz i bluźnisz! Wszak i w Polsce chleba
I miejsca dostatek; ale go trzeba
Okupić lepszym niż zwyczajnem złotem:
Twardziłą na palcach i czoła potem!

PRZEMOC I PRAWO.

Sto milionów marek — to nie fraszka!
Dość, by wykupić województwo całe;

Lecz sprawa z duchem polskim nie igraszka,
By go wygubić, i Niemcy za małe:
Przemoc dusi prawo, lecz go nie zgniecie,
Bo »większy Pan Bóg niż pan Rymsza« przecie.

ZAŁĘTA SKROMNOŚCI.

Jak towar złożony na okaz długo
W oknie, wnet świeżość i cenę postrada;
Takoż się dzieje z cnotą i zasługą,
Gdy zbyt skwapliwie światu w oczy wpada.

MAŁY I WIELKI.

I kret i orzeł — każdy doskonały
W swoim rodzaju, więc godzien pochwały.

MIARA CNOTY.

Krzywdę wyrządzać, to rzeczą szatana;
Krzywdą gardzić, już poganom rzecz znana;
Lecz z krzywdy się cieszyć i krzywdzącego
Kochać — to cnota człowieka bożego.

SZLACHETNY A ZŁOŚLIWY.

Ciernie się czepia przechodnia i kłuje,
Lipa obdarza go wonią i cieniem;
Złośliwy człek kąsa i prześladowe,
Lecz słodzić, godzić — zacności znamieniem.



II.

Z PODRÓŻY.

Wszereż i wdłuż przewędrowałem
Naszą świętą ziemię:
Pieśni garstkę w niej zebrałem,
Żalu ciężkie brzemie;
Lecz i wspomnień wzniosłych, tkliwych
Sporą wiązkę wonną,
I serc polskich, serc życzliwych
Przyjaźń też doznanną.



Ochota podróżna.

Hejże, bracie, rzuć pańszczyznę,
Nałogi, wygodki!
Kostur w dłoń — na ucho czapkę.
I zmów pacierz krótki!

Strząśnij z duszy nudy miejskie,
Z czoła smutku chmury,
Potem ruszaj w świat daleki —
W lasy — pola — góry!

Nie pytaj się: Po co? dokąd?
I jak najwygodniej?
Tak bez celu, tak bez steru
Zawsze najswobodniej.

Dziś nad morzem, jutro w górach,
Pojutrze stań w lesie,
Gdzie cię piękne miejsce znęci
Lub oko zaniesie.

Za dnia przystań, gdzie najgwarniej,
Najszczerzej, najjaśniej;
Gdzie najchłodniej i najciszej,
Tam wieczorem zaśnij.

Szybko uchodź, gdzie się kłóć,
Milczą lub ziewają;
Zbliź się śmiało do tych, którzy
Wesoło śpiewają.

Czy przy winie, czy przy wodzie,
W pałacu, czy w chacie,
Byleś znalazł serce szczere,
Bądź mu rad, mój bracie.

W drogę przeto, jeśliś chory,
Smutny lub zgryźliwy,
Wrócisz z Bogiem zdrowszy, lepszy
Do dom, bo szczęśliwy!

Wspomnienie.

Z pięknych dni, ty najpiękniejszy,
Nie masz zginąć w niepamięci:
Niech więc pamięć twoję wdzięczność
Moja wierszem tym uświęci.

Wyprawa podróżna.

Krok pewny, wzrok śmiały,
A tłumoczek mały;
Na niebie pogoda,
A w duszy swoboda;
Budzić się z jutrzeńką,
I znać się z piosenką;
Chęci z siłą równe, —
Oto masz i główne
Przybory wędrownie.

Karczma na granicy.

Czy tu gore? Czy — do kata! —
Wali się ta smętna chata?
W niej się rąbią w pień?
Ale gdzie tam: do hulanki
Zapraszają wrzask i szklanki,
Gdy się schylił dzień.

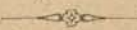
Kołem ciągną się kozaki,
Za łeb włóczą się żołdaki, —
A z powagą chłop
Polski pije, — a żyd w trwodze, —

A pod ławą na podłodze
Chraپی brudny pop.

W tem niezgrabny chłopa trząsa;
Chłop — zuch, zakręcając wąsa:
Idź, sobako, w bok!
Krzyknął, pchnął, — i tuż dwie strony
Do zaczepki, do obrony
Występują w krok.

Będzie walka śnać nie lada.
Wtem do izby w porę wpada
Przestraszony żyd:
Daje cicho rozkaz Kasi,
Ta wnet światło w karczmie gasi,
Więc na ten raz — cyt.

Tak to na granicy żyją:
Tańczą, bawią się i piją,
Aż powstanie swar;
Wtedy mądry żyd w ciemności
Grubej zostawiając gości
Gasi walki żar.



Pomnik Augustyna Kordeckiego

na Jasnej Górze Częstochowskiej.

Wznoszą się mogił tysiące, od Wisły źródła
do morza,
Mężnych rycerzy i panów, królów i godnych
kapłanów:
Tysiąc minęło lat z wodami Wisły szumiącej
Mimo kurhanów, nie ozdobiwszy ich cześcią
pomnika.
Mchem porosły krzyż lub brzoza płacząca
jedyną
Ich ozdobą i naszych wielkich przodków
nagrodą...
Przebóg! Nie nasza w tem wina, i kto nam za-
rzuci niewdzięczność?
Wszak od śnieżystych stoków Krępaku do
brzegów Bałtyku,
Od porohów Dniestru do nizin wiślańskich,
jeden
Wznosi się wielki grobowiec, smutku całunem
pokryty.
Kto policzy nagrobki na tej wielkiej mogile,
Kto wyczyta wymowne napisy na licznych na-
grobkach?
Policz serca polskie — mężów i kobiet i dzieci,

Policz westchnienia, modły i łzy przelane od
kroci;

I nie zapomnij tych drobnych kopców po
kraju rozsianych,

Grobów-ołtarzy, na cmentarzach wkoło ko-
ściółków;

Nie przepomnij drogi krzyżowej, którą zrosili
Krwia i ustali kośćmi męczennicy bez miana:
A zaprawdę, jeszcze nie wszystkie policzył
pomniki.

Tyś, Kordecki, szczęśliwszy; rzadkiegoś doznał
zaszczytu,

Jaki z tysiąca wybranych jednemu się ledwie
dostanie.

Ty, zakonnik, lubiący spokój i świętą pokorę,
Wziąwszy w udziale celkę i zapomnienie
klasztorne;

Sługa boży, kruszący słowem serca grzeszników,
Byłeś i mieczem ojczyzny i tarczą wiary naj-
świętszej.

Ty to niegdyś niszczący pogrom dla wojska
niewiernych,

Zmartwychwstajesz w żelaznej postaci z grobu
cichego,

Stając się wróżbą i sztandarem naszych nadziei,
Ale cóż, że kirem żalobnym pokryłeś skronie?

Czy się sromasz i smucisz, że wyrodni karłowie,
Słabego serca, a słabszej wiary, ani się cudów,
Jakie ty, nie spodziewamy, ani ich sami działamy?
I niewierną czern, rąbiącą krzyże, kościoły
Znieważającą, ledwie pieśnią albo dowcipem
Zwalczać się ważymy? — Nie gniewaj się, ojcze,
i daruj!

Przecież i dla nas godzina uderzy — dzwony
zawezwią

I rozplonie się łuna świętego żaru po Polsce...*)

Ruina chęcińska.

Śnieżne uderzają chmury,
Bije deszcz i grad
W pysznego zamczyska mury
Przeszło trzysta lat.
Dumno sterczą kruche ściany
I filary bram,
Z nich niejeden, choć złamany,
Broni wniścia tam.

*) Urzędowe odsłonięcie pomnika odroczone dla niepewnych stosunków i niepokojów poprzedzających rok 1863. Wtedy to ujrano z powszechnem zdaniem pewnego poranka pomnik odsłonięty i w żalobę przybrany; sprawców tego śmiałego czynu nie wykryto.

Lyse czoło wznoszą wieże,
Runął złoty dach,
Poznikali i rycerze,
Pusty cały gmach.

Północ. Po wyżynach bieży
Jakby płacz i jęk,
A z wysokiej dzwoni wieży
Głośny zbroji brzęk.

To zaklętych skarbów broni
Szajka duchów złych,
Na ich czele Bona goni
W gronie dworzan swych.

To gromadka wojowników
Polskich stacza bój
Krwawy, szwedzkich napastników
Odpierając rój.

To biskupi i posłowie
I rycerstwa kwiat
Udzielają w mądrej mowie
Królom dobrych rad.

Niech, w upadku swym wspaniały,
Długo zamek ten
Przypomina nam dni chwały,
Śliczne jakby sen!

Karczówka.

(Klasztor pod Kielcami.)

Ryczą i srożą się morskie bałwany;
Łódka spokojnie wśród burzy i piany
Pędzi do portu, pokonując wały,
Mijając skały.

Klasztor to łódka, krzykliwy świat, morze;
Radby ją zniszczył w zazdrośnym uporze
Ale nie zdoła; bo niebo, odwieczny
Port jej bezpieczny.



Wisła pod Krakowem.

Cóż się, Wisło wiecznie młoda,
Tak umizgasz do starego,
Na twe wdzięki nieczulego,
Bolesławów groda?

Kiedys — dawno, jak był młody,
To i znał się na piękności,
Umiał cieszyć się w czułości
Z twej cudnej urody.

Kraków, niegdyś tak namiętny
I jak junaczek swawolny,
Dziś jak starzec cierpki, wolny,
Smętno-obojętny.

Próżno stroją się twe fale
W barwy tęczy, srebro, złoto,
Cierpki Kraków nie dba o to
I nie patrzy wcale.

Próżno mruczysz mu w szeleście,
Brzegi stroisz w pstre kobierce;
Gdyż skostniało czule serce
W Krakusowem mieście.

Wisło nasza, wiecznie młoda:
Kraków wielki — Kraków stary,
Wielkie miasto — wielkie mary,
Całun twa uroda.

Zamek lanckoroński.

(Fantazya podczas burzy.)

Od północy niosą wiatry
Jęki mnogich dzwonów w Tatry
Siejąc w siołach trwogę,

Budzą panów Lanckorony,
Sowy, nietoperze, wrony,
Ot — zamku zalogę.

Wiatry wyją, dzwony jęczą,
Konie rżą, oręże brzęczą,
Stawiają się rotę;
Z niemi Bekiesz i Batory,
I z Czarneckim ten z Cecory
Spieszą do roboty.

Patrząc, ciemne biorą dreszcze,
Biją groty, a złowieszcze
Ptastwo bijąc w skrzydła,
Tłumi dzwonny brzęk orężów,
A wśród jeźdźców czołga węzów
Się chmara obrzydła.

Hu, aż w głowie się przewraca,
Co za walka, co za praca,
Nieład, gwar i krzyki!
W tem trząsł piorun w Lanckorony
Wieżę, i zmiotł smoki, wrony
I walczących szyki.

Podróż po ścianach.

Runą warszawskie pałace,
Runą krakowskie kościoły,
Złota, posągi, obrazy
Zmienia się w proch i popioły.

A gdy wróg ślady ich zetrze,
Wtedy wędrowny na murach
Wiejskich kościółków, na krzyżach
Polnych i świętych figurach

Wyczyta wyryte dzieje
Bolesne Polski i Litwy,
Pozna ich dolę, a oraz
Ludu powtórzy modlitwy:

„Zlituj się, Panie, nad nami!
Ojcze, z ufnością błagamy!
Panie, tyś Bogiem i sędzią:
Sprawiedliwości — wołamy!

Boże, dla wiernej twej Polski
Wymów wolności już słowo!
Zlituj się Panno najświętsza,
Polski i Litwy królowo!

Takie czytając po ścianach
Naszej młodzieży pacierze,
A widząc jej ufność i wiarę,
Sam utwierdziłem się w wierze.

Warszawa.

Cóż ci powiedzieć o naszej Warszawie,
By nie ubliżyć prawdzie ani sławie
Naszej pieśzczotki? — A znasz ty kobiety
Polskie, — ich ducha i serca zalety?
Podobno Polki mają najzgrabniejsze
Rączki i nóżki; lecz jeszcze słynniejsze
Z gustu, dowcipu, ruchów szlachetności,
Czego im każda oddawna zazdrości
Paryżanka, wzór i wyrocznia tego,
Co to podstawą wdzięku kobiecego.
Lecz mniejsza o to: większej chwały godna
Piękność ich duszy, niż postać urodna.
Bowiem ich dusza to istna świątynia,
W niej serce ołtarzem całopalenia,
Na którym płoną nieustanne dary,
Z cnót chrześcijańskich i polskich ofiary.
Więc sprawiedliwie nasze Warszawianki
Jako chrześcijańskie słyną Spartanki.

Owoż: czem Polki między kobietami,
Tem gród nasz syreni między miastami

Oliwa.

(Pod Gdańskiem.)

Piękna Oliwo, kolebko i grobie
Pobożnych Samborów, chrobrych Mestwinów,
Powabnaś jak młoda wdowa w żałobie,
Płacząca straty małżonka i synów.

Tu obmyślały kaszubskie książęta
Swojemu państwu mocne podwaliny;
Ztąd rozlewała łaskę wiara święta
Oraz z oświatą na morskie krainy.

Jak matka swego ulubieńca stroi,
Upośledzając dzieci mniej lubione,
Tak odznaczali się panowie twoi,
Świadcząc ci dobrodziejstwa niezliczone.

Jak Subisławy wprzód i Sambory,
Tak cię pieścili z równą życzliwością
Później Jagielly, Zygmunt, Batory,
Szlachetną hojność łącząc z pobożnością.

Dziś jeszcze twoja wspaiała świątynia,
Z obrazy, rzeźbą, śmiałością sklepienia
Tobie uroku, im sławy przyczynia,
W nas budzi wyraz żalu i zdumienia.

Zbladło, zszarzało, co sztuka zrobiła,
Lecz niezmienioną została przyroda,
Dzisiaj ta sama, co przed wieki była,
Zawsze uśmiechnięta, krasna i młoda.

Jak bluszczu gęste liście litościwe
Zdobi chylącą się pełną kaplicę,
Tak czuła przyroda krasa Oliwę,
Wspomnień i wielkich mężów popielnicę.

Kartuzy.

(Pod Gdańskiem.)

Na »Raj przenajświętszej Maryi,«
Dziś »Stolicę kaszubskiej Szwajcaryi,«
Rozlała noc swoje uroczne cienie,
Rozbiwszy górą gwiazdziste sklepienie.
W jeziorze przegląda się twarz miesiąca,
Buki i lipy i brzoza płacząca,
Nic lubej ciszy nie maći dokoła,
Chyba niekiedy głos dzwonu z kościoła.

Lecz, dzwieczny dzwone, nikt cię już nie słucha,
Nikt nie zrozumie, bo mogiła głucha
I tych już nie wyda, co każdej chwili,
Czy we dnie czy w nocy gotowi byli
Z twym głosem łączyć swe pobożne pienia
Czci bożej, pokuty i dziękczynienia!

Nim kury jutrzence zapowiedziały,
Już syny ojca Brunona padały
Pokotem w prochu przed zastępów panem,
Z sercem skruszonym i z obliczem zlanem
Łzami pokuty. Bo dusza bawiła
W Ogrójcu z Jezusem, tam z nim dzieliła
Smutek, szyderstwo i trwogę konania.
Gdy się skończyły rzewne rozmyślenia,
Rozległy się w celkach wzniosłe a smutne,
Serce wzruszające psalmy pokutne;
W nie się mieszały plagi dyscypliny,
Jakie mniej za swe jak za cudze winy,
Ojcowie sami sobie zadawali,
Aż Miserere wolno odśpiewali.
Dalej szła spowiedź, msza święta, pacierze.
Skromny posiłek, poczem każdy bierze
To młot, to siekierę w świętem milczeniu,
Z modlitwą w sercu i w myśli skupieniu
Pracując, dopóki im zachód słońca
Modłom i pracy nie położył końca,

I wezwał ojców na długie pacierze,
Wreszcie na krótki sen i twarde leże.
Tak było co dzień. Jedną tylko zmianę
Sprawiały czasem częściej zadawane
Plagi, ostrzejsze posty i ćwiczenia
W dni święte pańskie lub dla ocalenia
Od niebezpieczeństwa wiernych i ziemi,
W jakie wpadali z grzechami wielkimi.

Twardy to żywot, którym się myśl miękka
Zraża i na samo wspomnienie lęka.
Cóż więc sprawiało, że był pożądanym,
Że nie tylko prostaczki lecz i pany
Rzucali dwory, wygody, zaszczyty,
Aby wieść żywot skromny i skryty,
Wszystkiego, co świat lubi, pozbawiony,
A od wyziębłych lub głupich wzgardzony? —
Gdzie dom i serce od pożądliwości,
Wolne od skąpstwa, pychy i zazdrości,
Tam też nieznana ni trwoga ni troska
Ziemska, tam mieszka stale miłość boska.
Ta miłość, co się z żywej wiary rodzi,
Jak ogień, który ciepło z światłem płodzi;
Żyzna, co cnoty i zasługi mnoży,
Cudowna, co świętych z grzeszników tworzy.
Dla niej rozkoszą boleść i cierpienie,
Dla niej jedyną sławą zapomnienie,



Dla niej pokarmem modlitwa i praca,
Dla niej tylko niebo jedyna płaca.
Z źródła tej wiary i miłości płynie
Siła cudowna, co Kartuz pustynię
Na raj wybranym mężom zamieniła.

Ale zazdrosna bezbożność zburzyła
Niestety, ten cichy cnoty zakątek.
Nie cierpiąc nawet w ruinach pamiętek,
Celki rozebrała, mury rozbiła,
Ledwo przybytek pański oszczędziła.
Dziś wszystko legło w zapomnienia gruzach..
Kościół, jedyny pomnik po Kartuzach,
Jak zdobna mogiła pośród cmętarza
Kamiennym głosem ich godło powtarza:
A świętokradcom groźno przypomina,
Że dla nich także wybije godzina:
Memento mori!

Dwóch wędrownych.

Pod Krakowem, na górze Wawela
Stoi dwóch; jeden z nich smutny, płacze,
Drugi nie tając w oku wesela,
Jak dziecko niemal z radości skacze.

A co im mroczy, krasi powieki,
Odgadnie ten, co umie czuć z nimi:
Wygnaniec — idzie ów, w świat daleki,
Ten do ojczystej powraca ziemi.

U wód dusznickich.

Witaj mi, luby Duszniku,
Lekarzu cierpień bez liku:
Na widok twój się porusza
Weselej ciało i dusza.

Witaj mi, drogie ustronie:
U wód twych pewno zatonie
Ma boleść, a z nich wypłynie
Zdrowie i humor jedynie.

W cieniu twych jodeł i szumie,
Kto użyć pragnie i umie,
Odetchnie piersią znów młodą
Twych gór niebieską swobodą.

Boleści i smutku chmury
Roztrąca się o tve góry,
A ku ich szczytom wysoko
Podleci znów myśl i oko.

Twych kwiatów wonie wygoją
Me rany, oraz nastroją
Ptaszęta chórem zebrane
Uczucia me poszarpane.

Bystrzycy fale szumiące
Ochłodzą skronie gorące,
Spragnione usta napoją
I serca bicie ukoją.

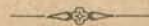
Pięknyś, Duszniku, gdy zorza
Z nocnego budzi cię łoża;
Pięknyś, gdy słońca promienie
Się cisną w twe chłodne cienie.

Ale gdy tarcza księżycą
Złotym cię blaskiem oświeca,
Stajesz się rajem widomym,
Uroczym, by bożym domem.

Z ludźmi, co ludzkie, się chowa:
Grzech, smutek, próżność jałowa.
Gdy potem z kościelnej wieży
Dzwonek wieczorny uderzy:

Zjawiają się aniołowie,
Tych miejsc i ludzi stróżowie,
By ślad ich zboczeń zacierać,
A lzy i westchnienia zbierać,

I mieniać je na kosztowne
Perły i pienia cudowne,
I darzyć niemi cierpiących,
We śnie szczęśliwie marzących.



Na widok z Góry królewskiej.

Śliczna dolino, oczu pieścidełko,
Najdroższa z dusznickich skarbów perełko,
Oj, tak wyglądał niegdyś raj stracony,
Takby wyglądał na nowo stworzony!

Jak dziecko bogatej gwiazdki widokiem
Olśnione, przegląda zdumionem okiem
Błyskotki, łakocie i »Drzewko boże,
I w swym podziwie słów znaleźć nie może:

Tak to ja patrzę, podziwiam i marzę,
Uczucia, obrazy i słowa ważę;
Ale niestety, co widzę i czuję,
Naprawdę w słowa odziać usiłuję.

Jak dziecko w swojej szopce betlejemskiej
Widzi najwyższy szczyt piękności ziemskiej,
Tak się przede mną roztacza jedyna
Szopka olbrzymia: królewska dolina.

Wkoło się piętrzy ciemnych i zielonych
Pasma pagórków lasem najeżonych,
Jak mur olbrzymi, — a wśród niego sady,
Zagony i skromnych chatek gromady.

Barankom, kózkom na leśnej murawie
Rozpierzchłym wtóruje w płoczej zabawie
Krzykliwa dziatwa, a czasem przebieży
Po jarach pobożna piosnka pasterzy.

Przed każdą chatką stoi krzyż na straży,
Lub Matka boska swą opieką darzy
Czy to przechodnia, czy mieszkańców chatek,
Co jej kornego szlę ukłonu datek.

A gdzie się wzrok przez pagórki przedziera,
Tam się dla niego nowy raj otwiera:
Szeroki, słonecznem światłem zalany
I tajemniczym urokiem owiany.

W tym nowym raju zanurza się oko,
Do jego tajemnic sięga głęboko
Ciekawa myśl, lecz w sercu się odzywa
Smętne pragnienie i tęsknota tkliwa.

Bo dusza wygląda wzrokiem spragnionym
Za inszym rajem, — nieznany, straconym,
Gdzie większe znajdzie niżli te piękności
A lekarstwo dla swej długiej żalości...

Karkonosze.

Karkonosze śląskie, góry prastare,
Oj niegdyś nasze słowiańskie, prześliczne;
Czemuście, czemu złamały nam wiarę,
Hej, dziś germańsko-kosmopolityczne?

Oglady wprowadzie więcej i wygody
Dziś między wami, jak było przed laty:
Za to było dawniej więcej swobody
I serca, gdy tu gościły Sarmaty.

Gęsto od zwierza grubego roiley
Się knieje, rozdoły i skał wertepy;
Surmy myśliwskie postrach roznosiły
W te roje, a śmierć żelazne oszczepy.

Albo na ptastwo i drobną zwierzynę
Puszczano sokoły jak dla igrzyska,
A potem piosnka i miodek drużynę
Myśliwską łączyły wkoło ogniska.

To pasterz za trzodą, to kmić za pługiem
Nucili sobie swe dumki słowiańskie,
W dzień zaś Sobótek zajaśniały długiem
Pasmem po górach ognie świętojańskie.

Jeśli nie u stóp, to na góry szczycie
Błyszczwał klasztor, z kąd się rozlewały

Wiara, nauka, chrześcijańskie życie,
Opieka i rada na kraik cały.

Dzisiaj to wszystko pod strychulec wzięto:
Zbory zamknięto, lasy popisano,
Sarny, zajączki w rejestra wciągnięto,
Na ryby, grzyby ustawy wydano.

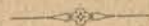
Zniknęła szczerza gościnność klasztorna,
Przycichła ludu wesołość swobodna;
Ich miejsce zajęły grzeczność pozorna,
Płatna uprzejmość i kultura modna...



Wieże piastowskie na Ślązku.

Wymarli nasi tak liczni Piastowie,
Sława ich czynów poszła w zapomnienie,
Dziedziny posiadli obcy panowie,
A pyszne zamki toczy spustoszenie.
Zgasła ich pamięć, bo nikt na ich grobie
Nie stawiał pomnika, wyrył imiona;
Za to w świątyniach wystawili sobie
Swej pobożności pomnik, a znamiona
Wielkiego ducha wyryli we wieżach,
Które ich grodów ozdobnie broniły.

Jak dąb samotny na morskich wybrzeżach
Zdobi i strzeże olbrzymiej mogiły,
Sam jeden śmiało stawia burzy czoło,
Sam się i czasom i ludziom opiera,
Gdy słabsze i młodsze drzewa wokoło
Niego pożarła burza lub siekiera:
Tak sterczą nad piastowskiemi grodami,
Jak nad ogromną, acz próżną mogiłą,
Okrągłe wieże, zębate z czubami,
Niegdyś obroną, dziś ozdobą miłą
Dla oka, milszą dla serca ślązkiego.
Bo stare te baszty przypominają
Nie tylko chwile nam wieku złotego,
Lecz i nadziei wygasnąć nie dają,
Że godło Piastów zaświeci z tych wieży
Znów i nad Ślązkiem zaświta swoboda,
Gdy anioł biały swe skrzydła rozszerzy,
I będzie jeden pasterz, jedna trzoda.



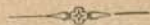
Nad grobami Piastów ślązkich.

Dzielnego Piasta dzielni potomkowie
I śląskiej ziemi troskliwi ojcowie,
Nad waszym grobem stawam rozrzewniony,
Nie ciekawością, lecz sercem wiedziony.

Nie by wam mieć spokój grobu miły
I świętokradzko przewracać mogiły;
Lecz by śladami waszemi pogonić,
Z wspomnieniem się pieszcząc, lezkę uronić.

Smutny los, smutny spotkał wasze plemię
I wasze dziedzictwo, tę śląską ziemię!
Jak dąb wspaniały, wiekiem przygnieciony
Zwolna usycha, tracąc swej korony
Świeżość i kształty, aż runie spróchniały,
Tak wygasł ród wasz, syty prac i chwały.
Dziedzictwa waszego zaś spadkobiercy,
To nasi i wasi serdeczni —:
Zimnego serca, a na duchu mali,
Zbierają dumni, coście wy zasiali;
Stawiają gmachy, których podwaliny
Przez was rzucone; którzy własne czyny
Wynosząc nad miarę, z przeszłości szydzą,
Żdźbło w waszem, tramu w swem oku nie widzą.
Żeście bładzili, wykazały dzieje.
Ale gdzież człowiek, co się nie zachwieje,
Nie potknie czasem i mylnie postąpi?
Więc pobłażania nikt wam nie poskąpi,
Chyba złośliwiec lub zarozumiały,
Którego jeszcze nie wypróbowały
Pokusy ani chwile doświadczenia. —
Także słabostki, zdrożne nawyknięcia,

Ba! wadne bziki jednych z was szpeciły,
Drugich w dziwactwa płaszczyk przystroili.
Lecz z tego niejedno, co dziś zgorszeniem,
Było tylko waszych czasów znamieniem;
Było li częstką i posagiem wziętym
Z krwi wspólnej Piastom, zatem spadkiem
Były to wady słowiańskie i lasze, [świętym.
Przeto te same, co i dzisiaj nasze:
Skorzy do korda, w potyczce waleczni,
A przy kielichu weseli, serdeczni;
Pobożni, hojni i wszystko gotowi
Poświęcić Bogu, sławie i krajowi.
A więc zaprawdę, te wady rzekome
Były to cnoty, prawie nieznajome
Dzisiejszym; a że jeszcze mniej cenione,
Więc za zdrożności przez nich osądzone.
Ale daremnie ciasne uprzedzenie,
Zawistna niechęć albo złe sumienie
Wrogów, dzieje wasze i imię czerni:
Bo my, wasze dzieci po duchu, wierni
I wdzięczni na zawsze pozostaniemy
Waszej pamięci — wierze — mowie — ziemi!



Na górze św. Anny.

W sercu zraniony,
W duszy zgnębiony
Przyszedłem tu znów po pociechę,
Tak jak stroskane,
Ptaszę zbłąkane
Do gniazdka się tuli pod strzechę,

Krocie pątników,
Kalek, grzeszników
Przedemną już tu się modliły,
Przez matkę Annę
I Matkę-Pannę
Zyskały tu spokój i siły.

Bo prośby wiary
Z duchem ofiary
I łzami pokuty serdecznej
Zawsze zyskają,
Czego szukają:
Pociechy doczesnej i wiecznej.

Łzy i westchnienia
Niebios sklepienia
Cudowną drabiną sięgają;

Po niej ku ziemi
Z czary złotemi
Anioły się boże spuszczają.

Jednych kroplami,
Drugich strugami
Niebieskiej słodyczy częstują,
Biorąc za miarę
Miłość i wiarę
Tych, którzy ku górze wstępują.

Śród bożych dzieci
Stawam raz trzeci
I ja na tej górze znękany
Bolem złudzenia,
Niepowodzenia,
By w duszy wygoić znów rany.

Patronki tego
Miejsca świętego,
Przed wami upadam w ufności,
Że duszne zdrowie
Całkiem odnowię,
Wykraśnieję w światłej młodości.

O matko Anno,
I Matko-Panno,
Co nad ludem śląskim czuwacie

Już całe wieki,
Wszak swej opieki
Mnie darmo wyglądać nie dacie?

Gościnność polska.

Nikt nie pyta: Ktoś ty taki?
Ale każdy pragnie ciebie
Mieć swym gościem i pod strzechę
Szczерze zaprasza do siebie.

Nikt nie pyta: Dokąd idziesz?
Zkąd przychodzisz? Lecz przynosi,
Na co dom się zdobyć może,
I dą koła mile prosi.

Nikt nie pyta: Kiedy pójdziesz?
Owszem zostań, będą radzi.
Gdy ich żegnasz, mówią szczerze:
Niech cię Bóg znów tu sprowadzi!

Powrót do domu.

Że tam pięknie za górami,
Pragną oczy w świat;
Ale serce smutno tęskni
Do rodzinnych chat.

Żegnam was więc, pyszne miasta,
Rzeki, pasma gór,
Bo już wita mię w rodzinnem
Siole ojców dwór...

Obok dworku stara lipa,
Którą sadił dziad,
Jeszcze stoi, — czuły świadek
Mych dziecięcych lat.

Obraz Matki Częstochowskiej
Strzeże dworu bram,
I gołębnik pochylony
Jeszcze jest ten sam.

Zadumany na stodołę
Bocian patrzy w dal,
A przed sienią wygrzewa się
Wierny stary Zwał.

Prędzej, żywiej na spoczynek
W grusz i lipy cień, —
Wszak już na me powitanie
Otwiera się cień.

Ojciec, matka, siostry, służba,
Wszyscy wyszli wraz,
Czy wam serce przeczuć dało,
Żem tak blisko was?...

Płyńcie, słodkie łyzy; bo nigdy
Tak nie wita świat,
Jak witają, gdy wracamy
Do rodzinnych chat.

Po latach.

Jak przed laty sklepi się nad
Siołem niebo promieniste;
Dziś jak dawniej szumią drzewa,
Lany wdzięczą się wzorzyste.

Po dawnemu zapraszają
Na modlitwę wiejskie dzwony
Lud pobożny, a do tańca
Młódź ochoczą skrzypków tony.

I gdzie spojrzę, tam wspomnienie,
Tam znajomy obraz wita;
Z niemi łą się w oko wciska,
A za serce boleść chwyta.

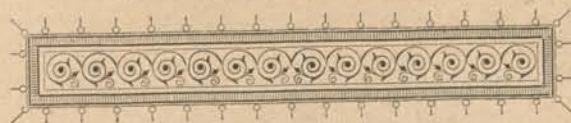
Bo z tych, których tu kochałem,
Jedni o mnie zapomnieli
Lub pomarli, a ci drudzy
Jakby poznać mię nie chcieli.

Więc was żegnam, lube strony,
Jak się żegna cmentarz drogi;
Świat wyleczy serce z żalu,
Czas mu wróci spokój błogi...



III.
BALTICA.

Dziwne morze! W zachwyceniu
Patrzę na cię, — to odwrócę
Się za chwilę w przerażeniu.
Patrząc — cieszę się i smucę,
I na przemian w zapomnieniu
Smętno lub wesoło nucę.



Do morza.

Witaj mi, wspaniałe morze,
Wielkie, święte dzieło boże!
Skarbów pełna tajemnico,
Pełna tajemnic skarbnico!

Tysiąc razy zatopiłem
Wzrok mój w tobie, i wróciłem
Tysiąc razy przywabiony,
Pięknem twem nienasycony.
Na fal twoich przytłumione
Szepty słucha rozmarzone
Ucho, a zdumiałe oko
W nich zanurza się głęboko.
Zaś ciekawy duch przebiega
Na wskroś od brzegu do brzegu
Twe otchłanie kryształowe,
Sledząc głębie zagadkowe.
Jak w zaczarowanym lasku
Koralowym, w perel blasku

Błądzi myśl w podziemnym sadzie,
Na cudownym twym pokładzie.

Górą krążą jak wędrownie
Posły, okręty ładowne,
A ich widok w serce sieje
Nowin i zysków nadzieje. —

Lecz gdy wspomnę, ileś w sobie
Pochłonęło w zimnym grobie
Życia, nadziei i mienia,
Radość w smutek się zamienia.

Morze — cmentarzysko smutne,
Obojętne i okrutne:
Ile kropli, ile fali —
Tyle mogił, łez i żali!

Bez krzyżyka, bez pomnika
W niepamięci mokrej znika,
Komu przyszło w oceanie
Czekać na swe zmartwychwstanie.

Aniół pański na pokładzie.

Słońko zgasło w morskiej toni,
Ptaszki milczą — lasy drzemią,
Tylko morze westchnie czasem,
Wietrzyk popieści się z ziemią.

W morzu gładkiem jak w zwierciadle
Krocie gwiazd się przeglądają,
A z księżyca strugi światła
Na samotną łódź spływają.

Wtem przenika dzwon wieczorny
Z bliskiej wioski nocną ciszę;
I pobożny brzęk po falach
Ku statkowi się kołysze.

I załoga na pokładzie
Kłęka z odkrytymi głowami,
By pozdrowić przenajświętszą
Pannę archaniola słowy.

Potem śpiewa chór pobożny
Dzielnych majtków: Gwiazdo morza,
Świeć wśród nocy nam i burzy,
Matko nasza, matko boża! —

Wiatr i fale hymn roznoszą
I po wodzie i po ziemi,
Zaś ku niebu aniołowie
Bieżą z pieniami świętymi.

Stara Hela.*)

+ Słuchaj, z morza się dobywa
Oddźwięk dzwonów smętno-tkliwy,
Im wtóruje śpiew poważny,
Pół wesóły, pół płaczliwy.
Oraz się wychyla z głębi
I wysoko w górę strzela
Dziwne jakieś, dziwne miasto,
A tem miastem: Stara Hela.
Tak jak ongi zatonała
Z pałacami i kościoły,
W nich zebrany w dzień świąteczny
Lud pobożny i wesóły.
Domy, ludzie, port i statki
Wszystko świeże, jakby żyło,

*) Od Pucka ku Gdańskowi wrzyna się w morze bałtyckie kilka mil długi, ale bardzo wąski półwysp Hel, tworzący zatokę zwaną pucką. Ten ciekawy kącik jest zamieszkały przez dzielnych, na wskroś katolickich i polskich wiarusów, trudniących się rybołóstwem, a goniąc przywiązanych do tego piaszczystego skrawka ziemi, zarówno jak do swego niebezpiecznego rzemiosła. — Na samym końcu półwyspu leży miasteczko Hela, zupełnie niemieckie i luterskie. Według podania ludowego było tu przed kilka wiekami wspaniałe i bogate miasto handlowe. Jego spanoszeni mieszkańcy zapomnieli, ponieważ się zbyt dobrze mieli, całkiem o Bogu i cnocie, i za to zostali ukarani, tak że wraz z swem miastem w sam dzień Zielonych Świątek nagle żywcem przepadli i w morzu utoneli. Czasem daje się zatraczone miasto na dnie morskiem do dziś dnia widzieć: to też już niejeden śmiały spuścił się po owe tam ukryte skarby w głąb morską, gdzie ginął, nie dotarłszy do szukanych skarbów.

Wstaje nagle, ludzi oko,
Wabiąc ksobie dziwną siłą.
Więc jak tylko żeglarz ujrzy
Cudne widmo, co mu mam
Wzrok i serce, nie zrażony
Ani głębią ni rafami;
Śmiało bram do miasta szuka
Skrytych gdzieś w błękitnej bloni;
Lecz daremnie — i ze skrytym
Bolem wraca z swej pogoni. —
Taki gród zaczarowany
Na dnie serca mego leży,
Pełen światła, pełen skarbów,
Głosów, posągów i wieży.
Czasem ozwie się tam dzwonek,
Czasem dumka smętna — mętna,
Czasem zabrzmi nuta żywsza,
Nieczo dzika, lecz ponętna. +
A ten gród zaczarowany —
To młodości raj stracony;
A te skarby, barwy, dumki —
To fantazyi sen spłoszony.
Ja też sięgam próżno po te
Skarby, chwytam cudne pienia:
Och, nie wrócą już młodości
Idealy i marzenia!

Skarga.

(Naśladowanie podług hiszpańskiego).

Ot kochanie moje
Uchodzi na łodzi
Od brzegu, gdzie stoje,
Po szybkiej fali
I niknie w dali...
A znikającego
Nie zwrócę do brzegu.
Bo z morza siniego
Mię tylko dobiega
Bałwanów i wiosel
Żalosny jęk, — posel
Kochania mojego
W dali niknącego, —
Od brzegu do brzegu!

Matuchno, od brzegu,
Gdzie pewne przystanie,
Ruszyła łódź gładka,
A z nią me kochanie.
Im głośniej jej wołam,
Tem spieszniej uchodzi.
Bo głos mojej skargi
Bodajże tej łodzi

I skrzydeł dodaje
I żagle rozdyma,
Że nigdy ma skarga
Jej w biegu nie wstrzyma. —
Ja przeto me żale
Wyjawić ci muszę,
Inaczej ból niemy
Zabiłby mi duszę.

Marzenia miłości —
To zamki na lodzie;
Nadzieje przyszłości —
To bańki na wodzie!
I wam powierzyłam
Me szczęście, wy łodzie,
Co tak uchodźcie
W pospiesznym pochodzie?!
Jak wiatr, co po niebie
Obłokami miecie;
Jak fale nieszczere
Błądźcie po świecie;
Jak ptaszki ni spocząć
Ni wrócić nie chcecie,
Dopóki bez śladu
Kędyś nie zginiecie. —
Tymczasem, matuchno,
Poskarżyć się muszę.

Inaczej żal niemy
Zabilby mi duszę.

A z wiosną gdy wrócą
Ptaszyny i nową
Piosenkę zanucą;
Gdy grządki zakwitną
Na nowo w ogrodzie;
Gdy wiatr się uciszy:
Zawiną też łodzie
Do brzegu naszego.
Czy na nich kochanie
Me wróci — nie wróci:
Ma skarga ustanie
W kościele lub w grobie...
Matuchno, choć tobie
Poskarżyć się muszę,
Inaczej żal niemy
Zabilby mi duszę.

Od brzegu, gdzie stoje,
Uchodzi na łodzi
Po szybkiej fali
I niknie w dali
O, kochanie moje..
I znikającego

Nie przyzwę do brzegu.
Bo z morza sinego
Mię tylko dobiega
Bałwanów i wiosel
Żalosny jęk, — poseł
Kochania mojego
W dali niknącego —
Od brzegu do brzegu...

Nad brzegiem morskim.

(Podług niemieckiego).

Dumno patrzy kupiec na swój
Okręt i towarów paki;
Obok stary biedny rybak
Lata swe dziurawe saki.

Tam nadyma się łódź pyszna,
Obok szkuta zdruzgotana;
Tu bezpieczny port, tam skały
I nikomu głąb' nieznana.

Tam blask słońca, tu noc ciemna;
Tu śpiew, tam martwe milczenie;
Tu witanie, tam rozstanie,
Modły tu, tam złorzeczenie.

Panny dwie nad morzem stoją:
Jedna listki z kwiatu zrywa
Bawiąc się, do wody rzuca;
Druga smutna łzy przelewa.

Jedna, tkliwy smutku obraz,
Wzdycha ciężko, szepce skrycie:
»Morze smutne — ciemne — dzikie,
Tyś prawdziwie, jak me życie...«

Druga, wesołości obraz,
Wzdycha też i szepce skrycie:
»Śliczne morze — jasne — słodkie,
Tyś prawdziwie, jak me życie...«

Morze ryczy wciąż i chłonie
Żalu i radości głosy,
Sunie dalej i zabiera
Razem łzy i kwiatów trzosi.

Okręt podczas burzy.

Patrz, jak okręt mocą burzy
W różne strony wciąż miotany,
To się w głębie morskie nurzy,
To wynosi nad bałwany.

Oj, nie zniesie nawałnicy
I niechybnie w głębi zginie,
Jak nie stanie na kotwicy
Lub do portu nie zawinie.

Dłoń sternika doświadczona
Ocalić go tylko może:
Gdy się wyrwie z niej, — szalona
Burza go zatopi w morze.

Gorsza burza miota tobą,
Pewną zgubę ci gotuje,
Gdy cię żądza porwie z sobą
I namiętność opanuje.

Wtedy szukaj wczas schronienia —
Nim się łódka twa rozbije,
W porcie czystego sumienia,
W którym skryty ból nie ryje.

Albo uchwyc się kotwicy,
Wiary: że ów sternik w niebie
Łódź twą trzyma w swej prawicy,
I on nie opuści ciebie.

Dumki morskie.

I.

Morze, tylko błękitnego
Nieba szersze są granice,
Tylko noc gwiaździsta kryje
Równe twoim tajemnice.

Z twym urokiem tylko nasze
Stepy mogą iść w zawody:
Rzewne, tęskne a szerokie —
Stepy dumek i swobody.

Groźno-piękneś w gniewie twoim,
Który burzy ci wnętrzości;
Lecz wspanialsze w swem uśpieniu:
Obraz niezmiennej wieczności.

Twoja piękność tajemnicza
Serce aż do głębi wzrusza,
Ale w obec twej wielkości
Słabnie i maleje dusza.

Świętym dreszczem mnie przenika
Wielkość twoja, jak owiana
Duchem bożym, — każąc dłonie
Złożyć i ugiąć kolana!

II.

Piękneś, morze, ale piękność
Twoja złudna i nieszczerą,
Z pod niej zguba zimnem okiem
Z głębi zdradziecko spoziera.

To mielizna, skryta rafa,
To wód nieruchomość cicha
Statek zwolna dławią, albo
Burza nagle w głąb go spycha.

Tajemniczością twą zapal
Czynu i ciekawość budzisz,
Lecz urokiem lodowatym
Krew gorącą w żyłach studzisz.

Słodkim szmerem, gładkiem licem —
Pod którymi się ukrywa
Fałsz i zdrada — łatwowiernych
Zwodzisz, syreno złośliwa!

III.

Słonko znikło, morze drzemie —
Nocną ozłocone luną,
A spóźnione łódki jakby
Widma po bałwanach suną.

Mgła zalała brzegi, milczy
Przedtem port tak ożywiony,
A zdaleka gdzieś wzywają
Na modlitwę wiejskie dzwony.

A przede mną jakby miraż
Stoją miejsca zapomniane,
I wspomnienia i postacie
W mgłę przeszłości pogrzebane.

Sny i bajki i powiastki
O rycerzach, rozbójnikach;
Gry, zabawki i wspomnienia
O pałaszach i konikach.

Gwiazdka i chojenka strojna
W złote jabłka i orzechy;
I figielki i pustoty —
I dziecinne łzy i śmiechy.

I młodzieńca śmiałe myśli
I nadzieje i zawody,
Które znikły, jak powstały —
Cicho jakby bańki wody.

I przyjaźni i kochania
Świątych uczuć krótkie chwile,
Które długo spoczywały
W głębi serca jak w mogile.

I w rodzinnem kole błogo
Lat spędzonych, lat niewiele,
I kosztownych chwil strawionych
W samotności i w kościele. —

Z niemi na usta westchnienia,
Łzy do oczu się wcisnęły:
Tamte zabrał wiatr wieczorny,
Te z falami popłynęły.

Tylkom ja samotny, smętny
Został z wspomnieniami swemi:
Gdy ich woda, wiatr nie wzięły,
Niechże legną ze mną w ziemi!

Obrazek morski.

Strasza burza kona zwolna,
Gromko pomrukuje morze
I spienione, zadyszane
Wraca zwolna w swoje łóże.

Z chmurną nocą światło słońca
Wschodzącego się pasuje,
A gromadka kobiet z brzegu
Helu w morze się wpatruje.

Biedne, z wytężonym wzrokiem
Śledzą wśród burzliwych fali
Swoich mężów, którzy wczoraj
Wieczór na łów wyjechali.

Lecz niestety, nigdzie śladu
Ani żagla ani łodzi,
Tylko połysk piany często
Oko, częściej serce zwodzi.

Pewnyć wszystkim los rybaków,
Skoro dotąd nie wrócili!
Tylko serce biednych kobiet
Nadzieję chować się sili.

Aż dopiero, gdy rozbitków
Szczątki dobijają brzegu,
Wtedy płacz i krzyk tem głośniejszy
Wdów i sierót się rozlega. —

Wkrótce morze się wygląda,
Słońce znowu jasno świeci;
Lecz na Helu długo jeszcze
Płaczą wdowy i ich dzieci.

Szmer morski.

Fala wzdycha do fali:
Bodaj to sunąć tak dalej!
A druga szepce do trzeciej:
Mądry, kto szybko przeleci!

Mogiły nad morzem.

I.

(Fantazya.)

Ponuro szumi Bałtyku głąb,
Jej odpowiada posępnie dąb,
Który samotnej mogiły strzeże,
Gdzie dzielni spoczywają rycerze;

Którzy znużeni złożyli tu
Ciało i broń do długiego snu,
Chcąc słodko marzyć pomiędzy swemi,
Przy szmerze morskim w kaszubskiej ziemi.

Tak przemarzyli już z tysiąc lat.
Tymczasem wkoło posępniał świat:
Smutek niedoli z ziemi Polanów
Echem się przedarł do ich kurhanów,

Kiedy marzenie przerwał im brzęk
Broni, a za nim płaczliwy jęk
Niewiast, i kalek czcze złorzeczenia,
Aż wszystko zmarło w ciszy zwątpienia.

Jednych skruszyła lenistwa rdza,
Drugich spożyła niemężka łza,
Tamtych w strętwnieniu łakomstwo trzyma,
A w wszystkich ducha ofiary niema.

Przeto rycerze, co w grobie śpią
Nad morzem pod dębem, dolą tą
Podłych potomków gorszą się, nudzą,
Sen przerywając do czynu budzą.

Razem się burzy Bałtyku głąb,
Groźno powiewa konary dąb,
Białozór z świstem rozpiera skrzydła,
Z norów się jawią duchy — straszydła.

Jak się zaroził powietrzny szlak,
Rusza się orszak na cichy znak:
Na jego czele stare Bojany,
Wieszczę słowiańskich ziem i hetmany.

Tedy najstarszy z nich skinie dłoń,
I zagrzmia surmy, zabrząkną broń;
A duchy, widma, krwawe upiory
Opadną nagle miasta i dwory.

Jedne wlewają pałacy jad
Winnym w zanadrze, a drugie bat
Dzierżąc, rozdają ciosy sromotne,
Inne szponami rany stokrotne.

Ale nad wszystko nieznośny ból
Sprawia nędznikom wewnętrzny mól,
Który bez końca duszę im kłuje,
Spokój na jawie i we śnie truje.

Czy patrzą — słyszą — czuwają — śpią,
Wszędzie i zawsze w uszach im brzmią
Okropne słowa: Zdrajca ojczyzny!
A twarz im palą pręgierza blizny.

Czy grzeszna pani, dziewczka czy chłop,
Pan marnotrawny, występny pop,
I co jałowe, chłodne, leniwe —
Raz najmniej spotka te duchy mściwe.

Jeśli nie wcześniej, to gdy się zgon
Zbliża nędznika, wtedy z wszech stron,
Z pod Tatrów, Odry i od Bałtyku
Jawią się z mogił widma bez liku.

I opadają jakby ós rój
Konającego, tocząc z nim bój
Straszny, aż wreszcie bezbożną duszę
Czarty zabiorą na wieczne katusze.

Potem znów duchów-mścicieli chór
Niknie w mogiłach lasów i gór,
Złowieszcze strzygi i białozory,
Zwodnicze nurki i krwawe zmory.

I smętnie szumi Bałtyku głęb,
Jej odpowiada posepno dąb,
Mgły cahun kryje morskie kurhany,
A lacką ziemię smutku tumany...

II.

(Rzeczywistość.)

»Mospanie, krzyknijmy: Hura, heureka!
Bo nas znać wielka niespodzianka czeka:
Mogiła jak szopa, — hej to zwierz gruby...
Cielsko przynajmniej hetmana, Kaszuby!

A wy mi żywo spieszyć się, chłopacy,
Chwycicie się rydla, motyki i gracy!
Ale ostrożnie, powiadam wam, dumnie,
By nie naruszyć ani uszka urnie!

My zaś, koledzy, tej chwili użyjmy
I zdrowie starego druha wypijmy;
Aż się kniaź ruszy tam z grobu nudnego,
Tymczasem — w twe rączki, panie kolego!...

Tak dowiecipkując, ci rycerze modni
I starożytności słowiańskich godni

Przyjaciele, siedli wkoło mogiły,
Którą podanie i wiek uświęciły.

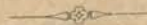
Gdy się pokrzepili i wygadali,
Tymczasem ludzie kurhan rozkopali,
I »towarzystwo starożytności«
Zaczęło badać mogiły wnętrzości.

»Patrz — krzyknął jeden — co za kolosalne
Gnaty!« — A drugi: »Jak oryginalne
Te pokrywy!« — Trzeci: »Patrzcie, te uszka
Ciupiuorne.« — Czwarty: »Jak misterna puszka!«

»Poszczycić się tą zdobyczą możemy,
A ziemia kaszubska skarby takimi.
W Krakowie wściekać się będą z zazdrości,
Więc hura! kaszubskie starożytności!«

»Tak gwarzą i mierzą i dysputują.
A chłopci szepcąc, głową pokiwiają:
»Bo pojąć, iście nasz rozum za głupi,
Hałas tych panów o takie skorupy.«

A poważniejszy z nich mruczy: »Panowie,
Żle się bawicie, — to nasi przodkowie;
Lepiej byłoby rzeć, choć to poganie:
Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie!«



Pożegnanie morza.

Żegnaj cię, kochane morze,
Żegnaj cię, na zawsze może,
Nie zapomnę zaś na wieki!...
Serce coraz rzewniej tętni,
Fale szumią coraz smętniej,
Szybko ginie brzeg daleki.
Uchodzące fale goni
Oko, ucho chwyta toni
Tajemnicze melodyje;
Serce w żalu zatopione,
Pożegnaniem rozrzucone
Słodką gorycz z nurtów pije.

Darmo wabią mię wspomnienia
I rusałek morskich pienia,
Roje marzeń i postaci:
Darmo, losu nic nie wzruszy,
Tylko żalu skarb w mej duszy
I pamiątek w niej bogaci.

.... Fale szumią, coraz smętniej,
Serce coraz rzewniej tętni,
We mgłach ginie brzeg daleki:
Żegnaj cię więc, piękne morze,
Żegnaj cię, — na zawsze może,
Nie zapomnę zaś na wieki!



Treść tomu I-go.

	Strona		Strona
Do drugiego wydania	3	Mgła	36
Do pierwszego wydania	5	Chmura	37
I. Z życia i świata.			
Po co śpiewam	9	Nad stawem	37
Gloria Deo	11	Pacholę na górze	38
Pragnienie	12	Dziewczynka nad grobem	39
Aniół pański wieczorny	13	Kwiaty i gwiazdy	40
W kaplicy leśnej	13	Przepiórka	41
Przy głosie dzwonu	15	Bogu-wola	43
Maj	16	Skowronek	44
Ulubione miejsca	17	Mysł i oko	45
Przecucie wieczorne	18	Serce i oko	46
Głosy, przyrody	19	Ostróżność	48
Obrazek	19	Tęcza	48
Nocne życie lasu	20	Do pierwiosnki	50
Wieczór w listopadzie	21	Ostatnia piosenka wiosenna	52
Tęskność w jesieni	22	Raz tylko	53
Samotność	23	Prawda i pozór	55
Ogródek ukryty	25	Cmentarz zaniedbany	56
Przy wschodzie słońca	25	Straty i zyski	57
Suche kwiaty	26	Ostatnie życzenia	59
Do słowika	29	Młodość	59
Smutna wiosna	30	Lipa słowiańska	61
Rozstanie	30	Nasz oręż	62
Przy studni	31	Nasze hasło	64
Zima	32	Pieśń towarzyska	66
Otucha wiosenna	33	Do Józefa Lompy	68
Liście opadające	35	Moja ojczyzna	69
W świetle księżycy	35	Pieśń sierota	72
		Do sióstr wygnanych z kraju	74

	Strona		Strona
Boża męka w lesie . . .	77	Wyprawa podróżna . . .	95
Wierzba	78	Karczma na granicy . . .	95
Mój Ćwiczek	79	Pomnik Ang. Kordeckiego . .	97
Mądrość świata	81	Ruina chęcińska	99
Przestroga	83	Karczówka	101
Stare myśli w nowej szacie:		Wisła pod Krakowem . . .	101
Umiarkowanie	84	Zamek lanckoroński . . .	102
Prawdziwe skarby	84	Podróż po ścianach . . .	104
Nadzieja i wspomnienie .	84	Warszawa	105
Serce ludzkie	84	Oliwa	106
Poświęcenie	85	Kartuzy	107
Prawdziwa przyjaźń . . .	85	Dwóch wędrownych . . .	110
Doświadczenie	85	U wód dusznych	111
Krótkość życia	85	Na widok z Góry kró-	
Pieniądze	86	lewskiej	113
Praca	86	Karkonosze	115
Pożytek cierpienia . . .	86	Wieża piastowska na	
Pożyteczne a piękne . .	87	Słazku	116
Modlitwa i praca	87	Nad grobami Piastów	
Dla nas wszystkich . . .	87	słazkich	117
Ojczysta mowa i wiara . .	88	Na górze św. Anny . . .	120
Jalmużna	88	Gościnność polska . . .	122
Prawdziwa życzliwość . .	88	Powrót do domu	123
Największe cierpienia . .	88	Po latach	124
Doskonałość	88		
Serce i głowa	89	III. Baltica.	
Pewny wybór	89	Do morza	129
Do wychodźców	89	Aniół pański na pokładzie .	130
Przemoc i prawo	89	Stara Hela	132
Zaleta skromności . . .	90	Skarga	134
Mały i wielki	90	Nad brzegiem morskim . .	137
Miara cnoty	90	Okręt podczas burzy . .	138
Szlachetny a złośliwy . .	90	Dumki morskie	140
		Obrazek morski	143
II. Z podróży.		Szmer morski	145
Ochota podróżna	93	Mogily nad morzem . . .	145
Wspomnienie	94	Pożegnanie morza . . .	150

Z NIWY ŚLĄZKIEJ.

WIERSE

CZESŁAWA LUBIŃSKIEGO.

TOM DRUGI.

WYDANIE DRUGIE, POMNOŻONE I POPRAWIONE.



BYTOM G.-Ś.

NAKLADEM WYDAWNICTWA „KATOLIKA”
CZCIONKAMI Drukarni „KATOLIKA”.

1893.

I.

OPOWIADANIA.



PIOTR DUNIN,
WOJEWODA WROCŁAWSKI.^{*)}

I. Pielgrzym.

Polskie lato — polskie niebo
Ożywiają pierś rozkoszą,
Pieszczą ucho, poją oko
A na skrzydłach myśl unoszą:

Kiedy słońce na zagony
Zlewa strugi ciepła, krasy,
Kiedy miesiąc czarodziejskiem
Światłem złoci łąg i lasy;

Kiedy wkoło jodły szumią,
Tajemniczo szepcą sosny,
Kiedy wietrzyk czoło chłodzi
Owiewając wonią wiosny;

Gdy się z szmerem liścia, z brzękiem
Pszczołek łączą ptasząt trele,

^{*)} Obacz objaśnienie na końcu tomu drugiego.

Krzaki nisko się kłaniają,
A pod nogi mech się ścięle.

Pięknie w koło; lecz wędrowny
Młodzian w sukience pielgrzyma
Lasem idąc obojętny
Dla przyrody oka nie ma.

Obojętnie sandałami
Gniecie kwiatki na murawie,
I nie zważa, jak ptaszęta
Sposierają nań ciekawie.

Bo to gość im niezwykajny:
W skromnym stroju swym pielgrzyma
I z postawy i z postaci
Podobniejszy do olbrzyma.

Kołpaczek pątniczy siedzi
Jakby szyszak mu na skroni;
Krzywej laski ruchy świadczą,
Że wprawniejsza dłoń do broni.

W jasnym czole bystre oko
Patrzy prosto, patrzy śmiało,
Lecz z wyrazem tęsknym, smętnym,
Jakby w dali coś szukało.

Tak od świtu aż do zmroku
Spieszy młodzian; czasem tylko
Się zatrzyma, by pokrzepić
Członki wypoczynku chwilką.

Od miast wielkich pilno stroniąc.
Bo się zgielku świata strzeże;
Do kościółka tylko czasem
Wstąpi na mszę i pacierze. —

Kiedy w krajach mgły północnej,
Pielgrzyma rodzinnej ziemi,
Kra puszczała, ruszył także
Pielgrzym szlakami wodnemi.

A z okrętu siadłszy na brzeg
Bursztynowy, przebiegł spiesźnie
Kaszuby i Wielkopolskę,
Tam zatrzymał się w Trzemesznie.

I westchnąwszy u grobowca
Polskich krain apostoła,
Spieszy dalej, gdzie go ślubu
Święty obowiązek woła.

Wreszcie, kiedy winogrady
W górach włoskich dojrzewały,
To nad Tybrem stada polskich
Bocianów go doleciały.

Wtedy, jako promień chmurę,
Rozjaśniła pielgrzymowi
Twarz pośpną krótka radość,
Gdy się zbliżał ku Rzymowi.

I jak żeglarz szczęśliw, gdy po
Burzy wjeżdża w port bezpieczny,
Upadł pielgrzym na kolana,
Skoro zoczył gród odwieczny.

Z płaczem odmówił nabożnie
Modły zwyczajem pątnika,
Wstawszy poszedł rzucić się do
Nóg boskiego namiestnika.

II. U ojca świętego.

»Ojcze święty,« rzecze kornie,
A łez strumień twarz mu rosi,
»Ojcze święty, wielki grzesznik
O łaskawy posłuch prosi.

Z duńskiej ziemi tu przybywam,
Wyznać życia mego grzechy,
I z twych ust usłyszeć słowo
Rozgrzeszenia i pociechy.

Jam Piotr Włostek, szlachcic duński,
Lecz niestety; klejnot przodków

Swych shańbiwszy, zapisałem
Imię swe w poczet wyrodków.

Razem z ojcem — wstyd mi wyznać!
Broiliśmy złego wiele,
Stojąc długie lata razem
Na opryszków morskich czele.

Żądy łupu, krwi i sławy,
Jakie wnętrze nam trawiła,
Równały się zbrodnie, gdzie się
Rzesza nasza pojawiła.

Wtedy padał blady strach na
Ludność zamku i zagrody,
Jak gdy głodny wilk się zjawia
Nagle wśród bezbronnej trzody —

Bez litości, bez różnicy
Siekł nasz oręż białogłowy,
Starców, dzieci, — kto żyw uszedł,
Ciężkie na się brał okowy.

Skarby i świętości świątyń,
Złota panów, kmieciów mienie
Bralim w statki, a ich domy
Zamieniały w proch płomienie.

Ojcze święty! Niech milczeniem
Krwawe czyny te pomnę,
A niech wyznam życia zmianę,
By naprawić wielką winę.

Długo broilił bezkarnie;
Lecz gdy brzydkich zbrodni miara
Się przebrała, wylała się
Na nas niebios gniewu czara.

Ot, wśród burzy trzasnął piorun
W statek nasz, że ogniem spłonął,
A z nim rodzic mój z załogą
W morskich odmętach utonął.

Jam ocalał — cudem, bo mnie
Morze na ląd wyrzuciło
I na pastwę zemsty ludzkiej
I sumienia zostawiło.

Ojcze święty! Z łaski bożej
I czi ludzkiej dziś wyzuty,
Zbrodniarz — błagam rozgrzeszenia
Kapłańskiego i pokuty...

Mówiąc pełen sromu, dłonią,
Lzami zlaną twarz zakrywa;
Tedy papież spoglądając
Czule nań, tak się odzywa:

»Ufaj, synu, bo kto wiele
Kocha, temu darowane
Będzie wiele! Więc i twoje
Grzechy będą wymazane

Z księgi długów. Bóg nie pragnie
Śmierci grzesznego człowieka,
Ale aby żył na wieki,
I poprawy tylko czeka:

Więc ci grzechy twe odpuszcza,
Lecz za krzywdy i zgorszenie,
Własne, ojca i współwinnych
Winienieś wynagrodzenie.

Przeto staw się przed twym królem,
Jemu wyznaj prawdę szczerze,
A zebrane skarby Bogu
I ubogim złóż w ofierze.«

»Poczem poznam« — pyta pielgrzym,
Że mi winę Bóg przebaczył
I od zasłużonych piekła
Wiecznych mąk odsądzić raczył?»

»Synu, kto przeniknie wolę
I wyroki Opatrzności?
Chcąc być pewnym, musisz wytrwać
Aż do końca w cierpliwości.

Czyś nie cudem sam jedyny
Wyszedł żywo z głębi morza?
Dufaj więc, że cię od piekła
Taż ocali łaska boża.»

Podumawszy dodał: »Synu,
Pewnym bądź zbawienia swego,
Jak usłyszysz kiedyś starca
Bez języka mówiącego.«

Jako ptaszę, co po długim
Trudzie wyrwało się z sieci,
Jak z straszego snu zbudzony,
Gdy mu jasny dzień zaświeci:

Tak się rozradował pielgrzym,
Gdy arcybiskupa święta
Ręka ze znękaney duszy
Jego zdjęła grzechu pęta.

A choć nie zdołał przeniknąć
Ciemnej wyroczni znaczenia,
Dufał mocno, że rękojmą
Odebrał swego zbawienia.

Przeto więc błogosławieństwem
Apostolskiem pokrzepiony
Wraca pielgrzym z lekkim sercem
Wesół w swe rodzinne strony.

III. Powrót.

A stanąwszy przed swym panem
Kornie czołem wprzód uderzył,
Potem z żalem skruchy, z sromem
Cnoty, z dawnych win się zwierzył.

I przygody swe cudowne
I pielgrzymkę opowiada,
A skończywszy przebaczenia
Prosząc, znów przed królem pada.

Z zadziwieniem i z uwagą
Wysłuchało zgromadzenie
Słów pielgrzyma; aż po chwili
Przerwał wreszcie król milczenie.

»Wielki Pan a ręka jego
Mocna jest i sprawiedliwa,
Którą tajemnice w morzu
To zanurza, to odkrywa.

Co zagadką dotąd było,
Dziś się jako dzieło boże
Objawiło, Jemu przeto
Poddajemy się w pokorze

Sprawa, którą Bóg osądził
I kościoła stróż widzialny,

Jest i dla nas ukończona:
Wyrok Rzymu nietykalny.

Wstań, młodzieńcze, i z ust króla
Twego weźmij przebaczenie
Zbrodni twoich, a wyroku
Papieżkiego potwierdzenie.

Bóg osądził winnych; ciebie
Cudem sam ocalić raczył,
A pokutę ojciec święty
W swej mądrości ci naznaczył.

Więc i ja odpuszczam winę,
A z nią karę zasłużoną,
Z napomnieniem, że pokutę
Wiernie spełnisz nałożoną.

W dowód zaś królewskiej łaski
Wracam do czci imię twoje
Krwią splamione, i przyjmuję
Ciebie między sługi moje.

Męstwa już i waleczności
Smutne dałeś nam dowody:
Bądź cnotliwym, tak naprawisz,
Co zawinił wiek twój młody.

Idź i zamień na rycerską
Zbroję skromny strój pielgrzyma,
Lecz zalety jego niechaj
Dusza twa w pamięci trzyma.

Gdy król skończył, Piotr zawołał,
Na kolano się spuściwszy
A ku niebu dłoń podnosząc:
»Królu mój najmiłościwszy!

Jak odpowiem, ja nikczemny,
Na królewskie słowa godnie?
Bo wspaniałomyślność twoja
Większa niżli moje zbrodnie.

Niech więc Bóg i dwór ten słyzy
Uroczyste me zakłęcie:
Wolą twoją aż do zgonu
Chować będę zawsze święcie.

Stać się godnym łaski twojej,
Godnym sługą na twym dworze,
A zgorszenie wsze naprawić,
Niech mi Pan Bóg dopomoże!

Piotr co przyrzekł, to dotrzymał.
I nie tylko w łasce pana
Się utwierdził; ale mądrość
I waleczność niezrównana,

Jakiemi się w radzie, w boju
Wciąż odznaczał przed wszystkimi,
Przywróciły cześć i sławę
Znów Włostkowi w duńskiej ziemi.

Przeto król poznawszy Piotra
Umysł stateczny i prawy,
Powierzał mu to poufne,
To celniejsze kraju sprawy.

Wysłał tedy Piotra razem
Z duńskiego rycerstwa kwiatem
Do polskiego Bolesława,
By mu był dla syna swatem.

»Niechaj« kończył król z uśmiechem
»To poselstwo twej zręczności,
Oraz stanie się dowodem
Twojej dla mnie też wierności.

Jesteś młody i urodny
Wolne także twoje serce...
Strzeż się, abyś go nie stracił
W uczuć i pokus rozterce.

Piotr uklonił się milczący.
Lew — pomyślał — niebezpieczny,
Choć się pieści; żart królewski
Jest jak palasz obosieczny.

Tak niechęący król rozterkę
Rzucił w Piotra tklive serce,
W niem się próżność z obrażoną
Dumą zatlily w iskierce.

IV. Spotkanie.

Z wiosną ruszył świetny orszak
Z Piotrem do Lachów krainy,
Niosąc dla księżniczki w darze
Złoto, jedwab i bursztyny.

Niegdyś pielgrzym, dzisiaj rycerz
Piotr znów zwiedza polskie kraje,
I z zdumieniem wielką piękność
Ich dopiero dziś poznaje.

Widok lasów, żyznych łąków
Mile jego oko wita,
Lud pobożny i gościnny
Mocno go za serce chwyta.

Liścia szmer i błękit nieba,
Urok, jaki krasi knieje,
Nęci oko, pieści ucho
I tęsknotę w serce leje.

Wreszcie ujrział orszak blizkie
Mury wspaniałego miasta,

Stolicy Krzywoustego,
Wielkiego potomka Piasta.

Wtem ostatni bór mijając
Usłyszeli blisko siebie
Krzyk gwałtowny, wzywający
Ku pomocy znać w potrzebie.

Błyskawicą stanął Piotr na
Miejsku, z kąd się głos przedzierał,
A pod dębem na niewiastę
Rozszalały dzik nacierał.

Słaba siłą, mężna duchem
O dąb wsparta się broniła,
Lecz w nierównej walce prędko
Ubiegała wątła siła.

Szybko, celnie Piotr wymierzył —
I odyniec runął z jękiem;
Potem z krwawą bronią w dłoni
Sklonił się z rycerskim wdziękiem.

»Darujcie, łaskawa pani,
Że dopiero — rzecze — witam
Was po sprawie ukończonej
I o dalszą wolę pytam.«

»Co wam życie swoje winna,
Tylko szczere dzięki składa,
Nie rozkazy, i wyznaje
Jak z usługi waszej rada.

Lecz gdy łaska, odprowadźcie
Mnie do zamku królewskiego,
Abym was stryjowi memu
Przedstawiła, zbawcę swego.«

»Rozkaz ten zaszczytny wielce
Spełniam rad, pani łaskawa,
Bo i mnie prowadzi droga
Do wielkiego Bolesława.«

Przy tych słowach pierwszy raz się
Oczy mówiących spotkały:
Wtedy rumieniec okrasil
Twarz ich, serca zaś zadrgały.

Tymczasem i towarzysze
Piotra za nim podążają,
I serdecznie bohaterski
Czyn i męstwo wysławiają.

Piotr ich słucha obojętnie,
Pani nieznana nieśmiało, —
Bo w obawie, by im cudze
Oko w serca nie zajrzało.

Wszedł więc orszak do Krakowa,
Za nim tłum nowinek chciwy,
Piękny Piotr na czele posłów
Zadumany, bo szczęśliwy.

V. Walka.

Nad Wawelem księżyc wschodzi,
Wiatr po niebie chmurki goni,
U stóp góry mruży Wisła,
A mgła wiję się po błoni.

Czasem ozwie się ptak nocny,
Gdy na zdobycz swą uderzy,
Czasem skrzypnie zardzewiała
Chorągiewka gdzieś na wieży.

Piękny młodzian, gość królewski,
Stoi w cieniu na balkonie,
Smutne myśli ocieniają
Jego męzkie, blade skronie.

To na nocny spojrzysz obraz
Okiem od smutku przyćmionem,
To ukryty w sercu zdradza
Ból westchnieniem przytłumionem.

»Myśli ludzkie — jak te chmurki,
Która lada wiatr rozprasza;

Los zawistny — ptak drapieżny,
Mgłą posępną — przyszłość nasza.

Los zawistny? — To pokusa,
Która słaby rozum ludzi,
Która lekkie serce nęci
A nieszczerzy zapal studzi...

Ale kiedy los przychylny
Sam z wygraną się narzuci?...
Ha, to szatan, co w anioła
Szacie znaną piosnkę nuci!

Precz z pokusą, precz z marzeniem!
Bo kto sercu wierzy — błądzi:
Wola boża człkiem bożym,
A rycerzem cnota rządzi.

Miło marzyć o swem szczęściu,
Wielce milej być szczęśliwym,
Ale szczytem wszego szczęścia:
I w niedoli być cnotliwym.

Dawno dla mnie przewidziany
Serca spór i doświadczenia
Już skończony, a w tej chwili
Na zwycięstwo się zamienia.

Miesiąc już na bezczynności
Zeszedł nam na polskim dworze, —
Miesiąc cały, odkąd niemoc
Księżną rzuciła na łożo.

Jutro wreszcie — czy już jutro?
Serce trwożyć się przestanie,
Gdyż na jutro król Bolesław
Nam przeznaczył posłuchanie.

Księżyc zeszedł, a gór szczyty
Już krasily ranne zorze,
Gdy się Piotr znużony rzucił
Na spóźnione nocne łożo. —

Cicho, ciemno teraz w zamku.
Tylko w jedynej komnacie
Błyszczą jeszcze światło w oknie.
Tam dziewica w białej szacie

Z bladą twarzą, ze łzą w oku
Kłęczy w modłach zatopiona,
Przed obrazem Matki Boskiej
Drżące podnosząc ramiona.

»Tobie, Matko przenajświętsza,
Los powierzam swój z ufnością;
Chciej jak dotąd, tak i nadal
Rządzić mną i mą przyszłością.

Tobie znane serca mego
Tajemnica i cierpienia,
Tobie znana także czystość
Uczuć moich i sumienia.

Ach, gdy jutro biedne serce
Będzie z posłuszeństwem w sporze,
Niechaj wtedy dobroć twoja
Mnie oświeci i wspomże.

Z obcej ziemi przyszli żądać
Ręki mej dla cudzoziemca:
Czym nie Polka, z krwi i ducha
Wandy, co nie chciała Niemca?

Rzeknę więc do króla-stryja:
Bodaj zostaw mię w ojczyźnie!
Wolę wszelką nędzę znosić
Jak królową być w obczyźnie.

Ty zaś, matko, nie pozwolisz,
Aby miano w poniewierce
Tajemnicę moję, której
Groblem będzie moje serce....»

Wtem zawołał z maryackiej
Wieży dzwonek na pacierze;
Księżna słyszy w nim głos z nieba
I otuchę z niego bierze.

VI. Dziewosłębstwo.

Na krakowskim zamku gości
Pełne sale i pokoje,
A dziedzińce zalegają
Służby i ciekawych roje.

Bowiem wielki król i księżna
Maryl, słynna z swej piękności,
Znów ściągają do stolicy
Z stron dalekich licznych gości.

Dzisiaj zwłaszcza pragnie przyjąć
Z zaszczytami niezwykle
Król Bolesław dziewosłębów,
Posłów króla duńskiej ziemi.

Którzy do stolicy Lachów
Z stron północnych tu przybyli,
By dla królewicza żądać
Ręki księżniczki Maryli.

Zwłaszcza chciał król uczcić Piotra
Holdem wdzięczności dla męztwa,
Z jakim księżną z śmiertelnego
Ocalił niebezpieczeństwa.

Bo go król pokochał szczerze,
Poznawszy nietylko gładkie

Obyczaje, ale serca
I zalety głowy rzadkie.

Tuż przy tronie z duchowieństwem
Siadły panie w pysznych strojach,
Z boku rzędem wojewody
I rycerze w ślniących zbrojach.

W blasku słońca, pereł, złota
Sala jakby ogniem płonie,
A w powietrzu się unoszą
Kwiatów i pachnideł wonie.

Wreszcie na znak dany rzesza
Się ucisza; wchodzi potem
Król Bolesław powitany
Wesołych okrzyków grzmotem.

Na bogatym tronie siadłszy
Z miną iście króla-pana,
Patrzy dumnie, jak sam jeden,
Co to nie wie, co przegrana.

Blizko tronu, bo i sercu
Królewskiemu blizką, siada
Piękna Maryl, tym piękniejsza,
Ile smutna dziś i blada.

By naprawić, w czym król niegdyś
Skrzywdził ojca jej Zbigniewa,
Na nią teraz hojnie czułość
I ojca i stryja zlewa.

Skoro tedy z łoża wstała,
Król na dowód swej radości,
By ją także rozweselić,
Dziś przyjmuje posłów-gości.

Na znak króla świetny orszak
Wchodzi i przez nadwornego
Marszałka wiedziony, zbliża
Się do tronu królewskiego.

Wtym powstaje na dziedzińcu
Nagle wrzawa hałaśliwa,
I poważnie rozpoczętą
Sprawę niemiłe przerywa.

Zgiełk się mnoży i przybliża
I do sali się przedziera,
Gdzie od wejścia służba dworska
Męża obcego odpiera.

Aż nakoniec z pozwoleniem
I na rozkaz Bolesława
Nieznajomy przybysz wchodzi
I w obliczu króla stawa.

Bodaj rycerz znać to godny
I bogato przyodziany,
Ale słońcem ogorzała
Twarz i ubiór zaniedbany,

Świadczą, że tu stanął, prosto
Idąc z dalekiej podróży;
Lecz niezwykle taki pośpiech
Złego coś zebrany wróży.

»Najjaśniejszy Panie — rzecze, —
Niech godności nie uwłacza
Twej królewskiej, że twój sługa
Nie dla woli złej przekracza,

Co obyczaj i rycerski
Zakon nakazuje wszędzie;
Lecz wiadomość, jaką niosę,
Pośpiech ten tłumaczyć będzie.

Wysłał mię król duński, pan mój,
W sprawie, jaką w tejże chwili
Mieli ci przedłożyć posły,
Co przede mną tu przybyli.

Ach, poselstwo moje smutno
W waszych sercach się odbije,
I tę sprawę smutno skończy:
Syn królewski już nie żyje!...

A żalosny ojciec prosi,
By z nim dzielić utrapienie,
A zmarłemu by zachować
Wasze pobożne wspomnienie.

Niemy smutek ścisnął serca,
Zamknął usta zgromadzeniu!
Król się podniósł, skinął rękę,
I rozeszli się w milczeniu.

VII. Wesele.

Minął rok. A świat odmłodził
I uśmiecha się radośnie,
Jakby się wywdzięczyć pragnął,
Co go wystroiła, wiosnie.

Ach, bo śliczna wiosna znowu
Rozsypała hojną dłonią
Swoje dary, — liście, kwiaty,
Rajską zaprawione wonią.

W słońcu brzęczą pszczołek roje,
Krasne bujają owadki,
W cieniu krzewów szczebiotają
Ptasząt swawolne gromadki.

Na Wawelu głośno, gwarno,
Bo się na królewskim dworze

Gości znów zebrało siła,
Jak przed rokiem o tej porze.

Świetniej, gwarniej niż przed rokiem,
Jak to bywa na weselu:
Bo dziś Piotra i Maryli
Ślub się odbył na Wawelu.

Co się stało? Jak się stało?
O tem różni różnie gwarzą,
Kończąc na tem, że szczęśliwie
Stadła w niebie się kojarzą.

Stało się, bo taka była
Piotra i Maryli wola,
Stało się, bo takie było
Też życzenie stryja-króla.

Śród zabawy chyłkiem wyszli
Młodzi państwo do ogrodu,
Aby użyć samotności,
Ciszy i wieczora chłodu.

Długo, długo w zadumaniu
Szli milczący obok siebie,
Stopą dotykając ziemi
Wzrokiem wodzili po niebie.

W ramionach olbrzymiej lipy
Był tam obraz Matki Boskiej;
Tam lubiła Maryś składać
Radość swą i drobne troski.

Tam wiedzeni jedną myślą
Wobec Matuchny stanęli,
I przejęci jednym czuciem
Kornie kolana ugięli.

Co mówili? Ten niech powie,
Komu w nieskalanem łonie
Serce bije, gdy takowe
Pierwszą miłością zapłonie.

Co mówili? Ten odgadnie,
Co z łona matki wyssaną
Miłość wiary i ojczyzny
Przechował niestalszowaną.

Co mówili, co przyrzekli,
Potem potwierdzili w czynie:
Wszak ich cnota i pobożność
Jeszcze dzisiaj w Polsce słynie!

Bo choć Piotr za młodu błdził,
Błdził li z nieświadomości,
A ojczyznę swą przybraną
Pokochał prawem wdzięczności.

Jak ją kochał, jak zboczenia
Wieków, nie serca naprawił,
Świadczy siedmdziesiąt świątyń,
Jakie z skarbów swych wystawił.

Świadczy, że go acz przybysza
Polska szczerze pokochała,
A poezya i historia
W księgi swoje zapisała

VIII. Żart niewczesny.

Dowcip w miejscu — złote jabłko,
Co podaje srebrna taca;
Żart niewczesny — jestto strzała,
Co na strzelca się obraca.

W bok Wrocławia, w nadodrzańskich
Kniejach błdzi dwóch myśliwych,
I dopiero noc i rzeka
Zmusza spocząć łupu chciwych.

Nanieciwszy ogień, na mech
Pod drzewami się rzucili,
Kraszając żartem przykrość miejsca
I skracając nudy chwili.

Jeden z nich Władysław, syn to
Bolesława, polski książę,

Drugi Dunin, którego też
Ścisła przyjaźń z synem wiąże,

Co i z ojcem Krzywoustym:
Dzisiaj wojewoda śląski
Na Wrocławiu, spełniający
Też kanclerza obowiązki.

»Lepiej — rozśmiał się Władysław —
Niż my bawi się w klasztoru
Tam pani wojewodzina
U opata na wieczorku...«

Conjuge Maria fretus*) —
Wiem, jak tęskno mnie wygląda,
Gdy tymczasem piękny Dobies
W oczach księżnej się przegląda.«

Jak przed brzydkim gadem, który
Mu do sukni się przyczepił,
Podskoczył książę Władysław
I w Dunina oczy wlepił.

Darmo szuka odpowiedzi
I drżącemi rucha usta;
Darmo Piotr zaklina księcia,
Przepraszając za żart pusty.

*) Słowa te wyjęte z napisu, jaki był umieszczony na pomniku Piotra Dunina, znajdującego się niegdyś w kościele św. Wincentego w Wrocławiu.

Wreszcie książę się ukoił,
Czoło znów się rozchmurzyło,
Ale w sercu podejrzenie
Jak zatruta strzała tkwiło.

Pierwsza go dostrzegła księżna
Adelajda, czy występna
Czy niewinna, — jeden Bóg wie,
Dość, że mściwa i podstępna.

Jak koteczka to się łąsi,
To zadrapnie, to udane
Lezki roni, aż jej książę
Odkrył skrytą w duszy ranę.

Niemka sromem się okryła,
W niej zadrżało serce mściwe:
»Ha, spamiętam ja ci, dumny
Lachu, słowa uszczypliwe!

Zazdrość ci olśniła oczy
I mówiła usta twemi:
Zemsta ci je zamknie, że już
Więcej nie zabłąznisz niemi.

Co było dowcipu twego,
Będzie zemsty mej narzędzie:
Rycerz Dobies chętnie swoim
I moim mścicielem będzie!«

Książę próżny, a więc słaby,
Choć się złym zamiarem brzydzi,
To niewinność Piotra, to swą
Winę wyznać też się wstydzi.

Tymczasem jak zwierz drapieżny
Koło swej zdobyczy chodzi,
To przystanie, to podskoczy,
Nim znienacka w nią ugodzi:

Tak też mściwa Niemka zwolna
I ostrożnie zastawiała
Sieci, by zasadzka pewnie
I bezpiecznie się udała.

IX. Spełnienie przepowiedni.

....Po wyprawie jedynaczki
W domu jakby po pogrzebie,
A rodzice jak sieroty
Patrzą tęskno wkoło siebie.

Tak to dzisiaj pusto, tęskno
Na dworze Piotra Dunina,
Gdzie córeczka dziś rodziców
Pożegnała, ich jedyna.

W domu i w rodziców sercu
Zostały tylko wspomnienia,

Za nią płyną łzy i gonią
Matki pobożne westchnienia.

Wojewoda po rycersku
Smutek i tęsknotę trawi,
I samotny w nadodrzańskich
Kniejach łowami się bawi.

Niemka, chciwa zemsty, z sercem
Tchórza łącząc wzrok sokoli,
Tę to sobie upatrzyła
Porę dla swej mściwej woli.

Więc gdy wojewoda w lesie
Odpoczywał snem znużony,
Został przez wysłańców zbrojnych
Księżnej nagle zaskoczony.

I śpiącego skępowałszy
Złoczyńcy na koń wsadzili
I na miejsce im wskazane
W milczeniu uprowadzili.

»...A to miła niespodzianka!
Wielce więc uradowani
Ot, witamy wojewodę
W naszym i w imieniu pani.

Dawno już pragnąłem pana
Wojewodę tu powitać,
By na jedno odpowiedzieć
A o drugie się zapytać...»

Tak z szyderstwem Dobies mówi
I złośliwem okiem bada
Jeńca, który pogardliwym
Mu milczeniem odpowiada.

»Ha, — zawołał Niemiec w gniewie —
Czyś oniemiał, czyś się może
Uparł dumnie? — No poczekaj,
Ja ci usta wnet otworzę!«

Na znak dany srodzy kaci
Zaraz się do pracy wzięli,
I — o zgrozo! — jednym cięciem
Język biednemu ucięli.

Nieszczęśliwy zbladł i jęknął,
Ustami rzucając strugi
Krwi, lecz mściwy Dobies daje
Umówiony rozkaz drugi.

Wtem, o cudo! — »Precz!« zakrzyknął
Krwia zbroczony — bez języka;
A to jedno słowo duszę
Obecnych grozą przenika.

»Niechaj — ciągnie Dunin dalej —
Bóg tę zbrodnię wam daruje;
Ja zaprawdę tylko wdzięczność
W sercu mojem dla was czuję.

Wiedźcie bowiem, że Bóg obrał
Was niegodnych za narzędzie
Woli swej i tego cudu,
By ten zawsze był i wszędzie,

Gdzie tylko o nim usłyszą,
Jawnym świadkiem i pomnikiem
Miłosierdzia i litości
Bożej nade mną grzesznikiem.

Wielki cud ten, którego wy
Tu świadkami niegodnymi,
Ojciec święty przepowiedział
Mi przed laty słowy temi:

Synu, gdy usłyszysz starca
Bez języka mówiącego
Przed swym skonem, wtedy pewnym
Możesz być zbawienia swego.

Teraz jasne owych, dla mnie
Dotąd ciemnych słów znaczenie:
Jam ten starzec, który sobie
Sam zwiastuję przebaczenie.

Chętnie tedy więc umieram,
Widząc cudem zapewnione
Rozgrzeszenie i niebieską
Krwawej pokuty koronę...

Rzekł i skonał. — Dobies patrzy
Na cud i w skruszeniu słucha
Jeszcze, gdy już wojewoda
Bogu swemu oddał ducha...



R Ó Ź A.

I.

P an Wawrzyniec na Przechowie,
Z herbu mieniąc się Doliwa,
W całym Ślązku dla urody
I swych bogactw czei zażywa.

Więc jak kwiaty główki swoje
Wciąż ku słońcu obracają,
Tak na niego piękne oczy
Chyłkiem tęskno spoglądają.

Lecz niejedna pokochawszy
Bez nadziei, kilka chwilek

Popłakawszy, uleciała
Z lekkim sercem, jak motylek.

Tylko jedna stałem sercem
Kocha szczerze go, Agnieszka,
Której rodzic w niedalekim
Dworku pod Przechowem mieszka.

Dzieckiem będąc, już Wawrzyńca
Pokochała jakby brata;
To uczucie zamieniły
Zwolna w inną miłość lata.

Jak niechcący się upaja,
Kto tajemnej siły wina
Nie zna, tak się ludzi, nie chcąc,
W sercu swem biedna dziewczyna.

Jak trucizna zwolna działa
Gdy kroplami się zażywa,
Tak Agnieszkę truć miłość
Skryta, złudna, acz wstydliva.

Co jej lat dziecinnych słodkie
Szczęście niegdyś stanowiło,
Teraz się na gorycz i na
Czarny smutek zamieniło.

Łatwo zgadnąć, co powodem
Było takiej smutnej zmiany:
Oto, że jej serca uczuć
Nie podzielał brat kochany.

Nie podzielał, bo tych uczuć
Serce Wawrzyńca nie znało,
Gdyż za młodu już poświęcił
Bogu duszę swą i ciało.

Agnieszkę jak siostrę kochał
Duszą od wszej namiętności
Wolną, więc też zmiany w siostrze
Nie dopatrywał w niewinności.

Zaś Agnieszka zachowując
Tajemnicę swą w milczeniu,
Cierpi schnąc i blednąc zwolna
Jak roślinka w chłodnym cieniu.

Jej lekarstwem jest modlitwa,
Śmierć i niebo jej nadzieją,
Ulgą lzy, co w samotności
Mimo woli z ocz się leją.

Czasem tylko, choć cierpiąca
Tajemnicę w sercu chowa,
Drżenie głosu, czułość wzroku
Mówi więcej niżli słowa.

Aż gdy ziemia w płaszcz jesienny
Mglisto-smętny się przybrała,
Chora swej podwójnej męki
Blizki koniec przeczuwała.

Wtenczas rzekła, zwiędłej róży
Kwiat podając Wawrzyńcowi:
»Róża — godło tajemnicy,
Niechaj za mnie do was mówi...

Róża ta niedawno jeszcze
Była świeżą i rumianą,
Zwolna wędła, zwolna bladła,
Bo za mało o nią dbano.

Gdy ją znów ujrzycie świeżą,
Wonną, z liśćmi czerwonymi,
Niechaj wam to znakiem będzie,
Że się wkrótce zobaczymy.«

Jak się ucho, po raz pierwszy
Nową słysząc pieśń, otwiera;
Jak zwilżony ciepłą rosą
Pączek w kwiatek się rozpiera:

Tak Wawrzyniec chwytł pełną
Duszą konającej słowa,
Z których się wyradza miłość
Dotąd mu nieznana, nowa.

A po chwili rzecze: »Siostró,
Dawną miłość wierny tobie
Chować będę, — nową składam
Razem z tobą w jednym grobie.

Wdzięcznie, choć jej nie rozumiem,
Wróżbę twą przyjmuję w róży;
Aż się spełni, niechaj kwiat ten
Mi za napomnienie służy.«

II.

Po Agnieszki zgonie wstąpił
Młodzian w służbę niebios Pana,
I wzgardziwszy światem przywdział
Skromną sukienkę kapłana.

W miarę, jak się mąż cnotliwy
Utwierdzał w doskonałości
I zasługi swoje mnożył,
Zlewały się nań godności.

Aż nakoniec go najwyższą
Już godnością zaszczycono,
Bo na biskupa wrocławskiej
Diecezyi wyniesiono.

Zmienił urząd, lecz zachował
Sposób życia ostry, prosty,

A podwoił chyba pracę,
Modły, jałmużny i posty.

Jedno jeszcze z lat dawniejszych
Przechował zamiłowanie,
Które z czasem i z urzędem
Żadnej nie uległo zmianie.

I to lubił wielce róże,
Lubił je namiętnie prawie,
Sam hodował je i wolny
Czas poświęcał tej zabawie.

Więc nie tylko latem ogród,
Lecz i biskupie komnaty
Zdobily wśród każdej pory
Roku te prześliczne kwiaty.

Widząc słabość tę biskupa,
Cieszyli się z nim życzliwi,
Pobłażali dobroduszni,
A szydzili z niej złośliwi.

Jednak słabość ta rzekoma
Miała też znaczenie pewne;
Z nią wiązała się Agnieszki
Wróżba i wspomnienie rzewne.

Róże bowiem do modlitwy
Za niebogę zachęcały,
Oraz biskupowi ciągle
Własną śmierć przypominały.

Tak tłumaczył bowiem biskup
Daleki od zabobonu
Słowa zmarłej, widząc w każdej
Zwiędłej róży obraz skonu.

Skrętnie więc cnotami duszę
A kwiatami dom swój zdobił,
Bo się nawet wśród rozrywki
Na szczęśliwą śmierć sposobił.

Gdy więc starca wiek i niemoc
Powaliły już na łożę,
Wyglądał spokojnie śmierci
Ufny w miłosierdzie boże.

Wtedy widział we śnie, jakby
Postać Agnieszki zbliżała
Się ku niemu i mu świeżą
Piękną różę podawała.

Lecz skoro jej śpiący dotknął,
Listki róży nagle zbladły,
Dotąd świeże i czerwone —
Zwiędły, uschły i opadły.

Gdy się święty mąż obudził,
Zawołał: »Czy to marzenie
Czy głos boski? Zawsze wdzięcznie
Przyjmuję za napomnienie,

Aby być gotowym, skoro,
Panie, pozwiesz sługę twego.«
Więc opatrzył dom i duszę,
Poczem umarł dnia trzeciego. —

Odtąd mówią, gdy wrocławski
Biskup ma umierać, róży
Kwiat mu się pojawia we śnie,
Który blizką śmierć mu wróży.



Kłusownik.

Wczoraj miałam sen złowrogi;
Zostań przeto, mężu drogi,
Dzisiaj w domu. Wieczór z nami
Prędko mile ci przeleci;
Spojrzyj wkoło na twe dzieci,
Nie róbże ich sierotami!

Śniło mi się, że myśliwy
Pański, twój przeciwnik mściwy,

Zaknął się na rany boże,
Iż nie spocznie, nie usiedzie,
Prędej jeść i pić nie będzie,
Aż cię schwyci w pańskim borze.»

»Fraszki takie zabobony!
A może twój sen zmyślony?...
A gdy tak przysiągł myśliwy,
Lepiej, że się sam zamorzy,
Nim go kula ma położyć:
A to nie sen, jak Bóg żywy!

Teraz skończyć! Bo dziś prośby
Mię nie zmiękcza, ani groźby
Nie zastraszą. — Niech się dzieci
Spać pokładą; a ty, żonko,
Wymódl łaskę, niech mi słońko
Jutro jeszcze raz zaświeci.

Bo gdy jutro żyw powrócę,
Strzelbę tę na zawsze rzucę
I zdradzieckie to zajęcie.
Bodaj wlaźła mi zwierzyna
Na oborę i do młyna,
Nie tknę jej, — przysięgam święcie!»

I to rzekłszy, nie czekając
Odpowiedzi i nie dbając

Na błagalne słowa żony
I na dziatek głośnie łkania,
Lecz porwawszy broń z schowania
Wybiegł młynarz rozdrażniony.

Szybko biegnąc błędnym krokiem,
Wkoło wodząc błędnem okiem,
Zapomniawszy o zwierzynie
Błądził w lesie przez noc całą,
I sam zdziwił się nie mało,
Gdy nad ranem stanął w młynie.

Żal, namiętność, zniechęcenie,
Słowa żony i sumienie
Srodze tak kłusownikowi
Myśli i serce szarpały
Strasząc, kłując, aż zagnały
Znużonego ku domowi.

Chylkiem sunął przez podwórze,
By się rzucić na swe łóże
Cicho i niepostrzeżenie.
Ale skoro próg przekroczył,
Rozrzewnił go, jaki zoczył,
Widok i wprawił w zdumienie.

Bowiem przed obrazem Matki
Boskiej widzi swoje dziatki

Zapłakane, snem znużone;
Ale żona nie śpiąc, wznosi
Dłonie, a łza cicha rosi
Jej oblicze zasmucone.

Długo spoglądał żałośnie,
A potem zawołał głośnie
Młynarz łkając: »Żono droga,
Twoje modły się przebiły
Aż do nieba i zdobyły
Jeszcze raz mi łaskę Boga.

Przyjmij za to szczerę dzięki;
Daruj także srogie męki,
Jakiem sprawiał sercu twemu.
Jego spokój po tej burzy,
Z mej się winy nie zachmurzy
Więcej, — ufaj słowu memu.«

»Dzięki, mężu! Ufam, wierzę!
Com cierpiała, to w ofierze
Skladam za to, że znów mamy
Ojca, że cię Bóg zachował,
Że się jeszcze raz zlitował
W miłosierdziu swem nad nami.«

Młynarz został wierny słowu
Swemu; więc i szczęście znowu

Powróciło do zagrody,
I z dniem każdym w niej się mnoży
Laska boża i chleb boży,
Owoc skrzętności i zgody.

Ale serce ludzkie zmienne,
Niezmierzone i bezdenne,
Pełne tajemnic jak morze;
Jak w popiele iskra skryta,
Tak w niem żądza niespożyta
W pożar rozwinąć się może.

I w młynarzu tliła skrycie
Niestrzeżona należycie
Żądza, wbrew zewnętrznej zmianie;
A im słabiej się opiera
Żądy, tym częściej spoziera
Na wiszącą broń na ścianie.

A im dłużej tłumi w łonie
Wrzący jad, tym mocniej płonie
Kłusownicza żądza skryta.
Aż nareszcie jednej nocy,
Uległszy pokus przemocy
Chciwie, skrycie za broń chwyta.

Przytem szepce: »Chodź, kochana
Towarzyszko! Aż do rana

Raz ostatni pohulamy
Sobie, a twój głos rozniesie
Raz ostatni postrach w lesie
Między ludźmi i zwierzami.

Wy tu śpijcie w dobrej wierze;
Niech was Bóg najświętszy strzeże,
Mnie odpuści grzech łaskawie.
Ale raz pohasać muszę
Jeszcze, potem broń tę skruszę
I na dobre się poprawię!

Szepcąc tak, znikł za drzewami. —
Czy przecuciem czy znów snami
Przestrzeżona młynarzowa
Nagle z łoża się porywa
I poznaje nieszczęśliwa,
Co za klęska grozi nowa.

Przed obrazem Matki Boskiej
Kłękając, te nowe troski
Przekłada w modlitwie rzewnej:
»Ach wysłuchaj mnie jedyny
Raz ten — daruj męża winy
I od kary ochroń pewnej...«

W modłach zatopioną budzi
Nagle mowa obcych ludzi,

Która trwogą ją przenika.
I co serce przeczuwało,
Już zjiszczono: przed nią ciało
Martwe kładą kłusownika...



Kasper Karliński.

Po raz ostatni proszę mości pana,
Chciej pan usłuchać na życzliwe słowa!
Szlachetna wdzięczność Maksymiliana
Dziś ponowionych przyrzeczeń dochowa:
Nie miną pana fortuna, godności,
I przyjaźń pewna księcia jegomości.

Lecz śmiałbyś, panie, trwać w dalszym uporze
I bronić twierdzy i sprawy straconej,
Natenczas ręczę: nim zabłysną zorze,
Z twierdzy olsztyńskiej w gruzy rozwalonej
Zawieje chorągiew arcyksiążęcia...
Mamyc dalibóg! pewne środki wzięcia!

»Djabli! Skończ waści przechwałki, androny,
Bym nie zapomniał, że mi z posłem sprawa...
Waść nie wiesz, co honor albo szalony...
Polak ni kraju ni czci nie przedawa,

Żołnierz nie dziecko i w strachy nie wierzy,
Za obietanką cacanką nie bieży.

Wracaj, mospanie, sobie swoją drogą,
A coś usłyszał, oddaj w odpowiedzi:
Kasper Karliński, olsztyńską załogą
Dziś dowodzący, jeszcze się nie biedzi,
Jak się ma bronić; a że nie zna zdrady,
W dalsze z twym panem nie wchodzi układy.

Tak odpawiwszy komendant posłańca,
Nuż do obrony rączy się gotuje,
Jak choże dziewczę, co idzie do tańca.
Sam działa stawia, słabsze opatruje
Miejsca, z kolei karci lub pochwala
I zapal tłumi albo go rozpala.

Ledwo co skończył przestrogi, pochwały
I powydawał stósowne rozkazy,
Nagle armaty rakuskie zagrały
Żelaznym gradem obsypując głazy,
Mury i baszty, wraz się rozwinęły
Hufce Rakuszan i naprzód sypnęły.

Lecz cóż się dzieje? Czy się zdrada wkradła
Między załogę zamku olsztyńskiego?
Czy czarodziejska trwoga na nią spadła?
Na widok wojska ku nim kroczącego

Stoją jak wryci, odporu nie dają,
Patrzą i patrzą i broń z rąk puszczają.

Już nieprzyjaciół tak blisko u murów,
Iż ucho polskie jasno rozpoznaje
Szyderstwa i żarty niemieckich ciurów;
Lecz ramię polskie odwetu nie daje,
Tylko się czoło jakby w gniewie mroczy
I ku wodzowi zwracają się oczy.

A wódz, co właśnie był posła z pogardą
Odpawił, stoi jak zaczarowany;
Mdła bladeńść pokryła jego twarz hardą,
Wzrok słupem stoi jakby obłąkany,
A dzielna zawsze dłoń miecza nie chwyta,
Jakby czarami do łona przybita.

Już na pięćdziesiąt kroków wróg przed murem;
Zadrzał Karliński, oczy podniósł w górę,
Znak krzyża zrobił i głosem ponurym:
»Ognia! Pal!« krzyknął, i sam pierwszy chmurę
Kartaczów rzucił w rakuskie żołdacy,
I chórem zagrały polskie armaty.

W rozsypkę poszły hufce najeźdźców,
Zamek ocalał, zwycięstwo zupełne.
Lecz w zamku smutek, nie słychać wykrzyków
Radosnych, wszystkich serca żalu pełne:

Bo wódz zbyt drogo wygraną zapłacił,
Gdy jedynaka z własnej ręki stracił.

Z nałką na czele i biednem dziecięciem
Polskiego wodza szedł Niemiec ohydny
Do szturmu na zamek, — tak niemowlęciem
Jak tarczą się chroniąc, myślał bezwstydnym
Przez ojca pokonać wodza hardego,
Lecz poznał Niemiec Lacha prawdziwego.

Runęły baszty zamku olsztyńskiego,
Nie będzie wkrótce śladu po ruinie;
Lecz świetne imię Kaspra Karlińskiego
Z pamięci swoich nigdy nie wyginie,
Z niem sława cnoty polskiej nie wygaśnie,
Aż chyba Polska przejdzie między baśnie.



Stara żebraczka.

Moi państwo, o kawałek —
O kawałek proszę chleba!
Jutro złożą mnie do grobu,
Jutro już mi nic nie trzeba.

Niegdyś zwano mię szczęśliwą,
Dom opływał mi w dostatki,

Kiedy jeszcze siedm synów
Pracowało dla swej matki.

Lecz gdy wkroczył wróg do kraju,
Poszli wszyscy w imię Boga;
Za ojczyznę wszystkich siedmiu
Radam wysłała, nieboga.

Wojska nasze dzielne, bitne
Nową sławą się okryły,
I zwycięzko do rodzinnych
Wiosek dawno powróciły.

I szczęśliwe matki z dumą
Uścisnęły dzielne syny, —
Lecz z tych siedmiu, com wysłała,
Nie powrócił mi jedyny.

Dni czekałam i miesiące,
Przeczekalam już rok cały,
Gdym do skrzyni po ostatni
Chleb sięgnęła, chleb spleśniały.

Nie wrócili... W skrzyni nie ma
Suchej odrobiny chleba...
Lży się leją — głód dokucza —
I po domach żebrać trzeba...

Moi państwo, o kawałek,
O kawałek proszę chleba:
Jutro złożą mnie do grobu,
Jutro już mi nic nie trzeba.



Wygnaniec do bociana.

Hej bocianie, tylko chwilę
Zatrzymaj się u wygnańca,
Wnet straconą dognasz miłę
Lotem szybciejszym posłańca;
Wszak cię nie wstrzymają czaty?
Pędź więc prosto w polskie chaty!

Najprzód odwiedź, w połę drogi,
Mi mogiłę ojca mego,
Gdzie go pochowali wrogi
W świętej wojnie poległego:
Sto tam grobów by zagony,
A na każdym krzyż czerwony.

Nie mów, jakie me cierpienie,
Ani żem służalcem cara;
Ale powiedz, że sumienie
Nie splamione, ani wiara

I nadzieja nie zachwiana,
Chociaż dłoń ma skrzepowana.

Potem, ptaku lekkopióry,
Przenieś się w krakowskie strony.
A gdy zoczysz u stóp góry
Skromny dworek pobielony,
Wkoło ogród strojny w kwiatki,
Tam wstąp do mej drogiej matki.

Powiedz, ile cierpieć muszę,
Ale jedna boli rana
Mnie najwięcej, trawi duszę,
Sroższa, niż srogość tyrana:
Iż nie mogę jej powiedzieć,
Jak ją kocham i jej widzieć.

Powiedz jej, że dłoń ma broczy
W krwi góralów tych niewinnych,
Ale dusza, serce, oczy
Bawią w stronach mych rodzinnych:
Z matką łączę się w modlitwie,
We śnie, na jawie i w bitwie.

Potem mi uściśnij brata,
Stanisława małego;
Niechaj pomnij — przyjdą lata! —
Pomścić mnie i ojca swego.

Pozdrów też siostrzyczkę małą
I przyjaciół, — Polskę całą.

A jak wrócisz z nową wiosną
Zastaniesz mnie, jeśli wrogi
Mnie oszczędzą, pod tą sosną.
Tam, mój przyjacielu drogi,
Przyjmę matki pozdrowienia,
A ty nowe polecenia.



Wróżba w burzy.

(Dumka).

Chorągiewka na kościółku
Jęła smutnym głosem,
Wiatr, co tam od wschodu wieje,
Trącił nią ukosem.

Las zaszumiał, jakby ze snu
Przebudzony nagle;
W fale jeży się jezioro
Jakby w szare żagle.

Psy wieśniacze w głos zawyły
By trwogą przejęte,
A na niebie zajaśniały
Tęcze dwie w krzyż spięte.

Gradem sypią się od wschodu
Strasznych jęków kłęby,
Im wtórują żeru chiwe
Orły i jastrzęby.

Co to będzie? — Strach mi łono
Ściska, zimne dreszcze
Mnie znachodzą, — już to wróżby
I znaki złowieszcze.

O mój Boże! Mamż zapłakać
Czy mam składać dzięki,
Że po czasie już mię żadne
Nie dochodzą jęki?

Przebóg, zawsze milej słyszeć
Tentent, zgielk i wrzawę,
Kłątwy mężów, niewiast skargi,
Modły dzieci mdławe.

Wszystkie głosy, jakie wiatry
Przynoszą stepowe
Miłsze mi dalibóg! niż to
Milczenie grobowe.



Zdrajce.

(Dumka).

Zagrzmiały w marzeniu uśpione błonie,
Gdy tysiąc kopyt po nich w cwał ruszyło,
I tysiąc kopyt na jesiennym szronie
Ogromną jak tęcza drogę wyrzyło.

Gęsto się sypią wyorany szlakiem
Jeźdźce okropni, — kościotrupy gnane,
Pod jednym srogim ślepo pędzą znakiem,
Okrutnej zemsty ramieniem ścigane.

Ponad czaszkami błędzących rycerzy
Smok dwujęzyczny groźnie podlatuje;
Paszczyka kłami ostremsi się języ,
Jak wiosło wody, skrzydło chmury pruje.

Nozdrza iskrami parszczą, a szpony
Ogniem po łysych czołach ryją: zdrada!
A gdzie ów orszak zapuści zgony
Swoje, przyroda nocna jęczy: biada!

Trwogą przesycone nikczemne duchy
Pędzą w niknącą dal aż poza stępy;
Tam się wszczynają żywsze wrzaski, ruchy
I w bratniej walce łamią się oszczepy.

A gdy znów słońce rozpala kagańce,
To bój dopiero ustaje zażarty,

I bratobójce uchodzą za krańce
Stepu, jak w knieji znikające harty.

Co noc się odbywają te gonitwy,
Co noc tę zgrają piekło w step wylewa,
Co noc się tracą zdrajce pośród bitwy,
Aż na ostatni sąd ich Bóg powzewa.



Wspomnienia chłopięce.

W cienistej dąbrowie na pulchnym legu
Bujają sobie koniki swawolne;
A nad strumykiem, co się jakby wstęga
Śrebrna w kwiaty wplata, na mchu puchowym
Odpoczywają, co na konie baczą:
Jaś i Staś, nie mniej swawolni od koni.
Ci nazbierawszy liścia i gałęzi
Wspaniały sobie rozłożyli ogień;
Buczyne łupiąc i drwa przykładając
Na rozpalone ognisko, gawędzą
Sobie o strachach i o czarownicach,
To o topielcu to o rozbójnikach.
Dalej o plackach kiermaszowych prawią —
Na to wspomnienie ślinkę polykują, —
I o koledzie na świętych Trzech królów...
Właśnie się Jasiek zwierza do kolegi,

Iż mu się białe uległy gołąbki,
A ten, że w sadzie rano odkrył gniazdko,
W niem już piskłęta sikorki czy zięby;
Gdy się rozparły krzaki w zagajeniu,
Które jak żywa czarodziejska ściana
Oko łudziły i łakę na pyszny
Pokój zamieniły, — i jakby turtką
W gałęziach ukrytą, jakąś się postać
Cicho i wolno z lasu wysunęła,
Prostym ku chłopcom krokiem zamierzając.
Na taki, nagły i niespodziewany
Widok struchleli malcy, sądząc w pierwszej
Chwili, że im się który z duchów zjawił,
Co ich tak śmiało przedtem wspominali,
Albo, co gorsza niż duchy, że postać
Leśnego stróża przed sobą zoczyli,
Który im czapki pozabierać przyszedł,
Za to, iż ogień naniecili w gaju, —
O czym wiedzieli, że prawo zabrania.
I już się, szkapy zostawiając same,
Brali do ucieczki, ale łagodny
Głos zbliżającej się do nich postaci
Ich trwogę uśmierzył, otuchę wrócił,
Skoro poznali, że to ani ducha
Ani leśnika do nich głos przemawia.
»Czekajcie, chłopcy, nic wam się nie stanie,

Stójcie, pomówię jeno słówko z wami...
A godzi się to, szkapy same puszczać?...«
Nie tak zwykł mówić surowy gajowy.
Więc śmiały Jaśko, już niebezpieczeństwa
Więcej nie widząc, wraca do ognisk;
Za nim trwożliwy nieco zdala Stasiak.
I prędeż nawet odzyskali mowę,
Nim o doznanej trwodze zapomnieli;
Bo nim przybyły zaczął dalej mówić,
Jasiek ciekawie i śmiało się wyrwał:
»O Jezu! Patrz-no, ten człowiek bez nogi...«
Lecz się natychmiast i nagle zatrzymał,
Jakby się zbytnią odwagą zatrwożył,
Poniekąd z wstydu, że się tak niegrzecznie
Wyrwał, a nieco także i z litości
Z kaleką; dodał po chwili i ciszej:
»A czemu wy to bez nogi chodzicie?
Ja jeszcze nigdy takiego człowieka
Nie widział...« Tak mówiąc, zbliżył się Jasiek
Ku przychodniowi, dalej za nim Stasiak.
»Opowiem wam wszystko, ale niech wprzód
Nieco wypoczne.« To rzekłszy na darni
Usiadł wędrowny pod cienistym dębem.

Byłto sędziwy i poważny starzec,
Niepochylony jeszcze lat ciężarem;
Mężkie oblicze zdobył wąs sumisty,

Uroku mu blizny ran dodawały,
A z modrych oczu męztwo i prostota
Prawego żołnierza patrzyły śmiało.
Podniósłszy z głowy barankową czapkę —
Konfederatkę, jak dawniej nosili,
Zanim nastały kuse kaszkieciki, —
Aby ochłodzić czoło potem złane;
»Znacie wy wojnę?» Tak przemówił nagle.
Ale wszak prawda, wy tu na ustroniu
Szczęśliwe dzieci nie wiecie o świecie,
I co się dalej za borami dzieje.
Aleć o Polsce słyszeliście przecie?
Wszak wiecie, Polska kraj wielce bogaty
W bydło i zboże, wełnę, miód i drzewo,
Uboższe kraje swym dostatkiem żywi.
Ogromne lasy roją się od zwierza
Rozmaitego, a rzeki od rybek
I raków — jak to sami pewno wiecie, —
Z gór dobywają zaś kosztowne kruszce.
Sami Polacy to naród jedyny:
Pobożny, gościnny, śpiewny i śmiały;
A cóż dopiero o Polkach powiedzieć,
Które urodą swą i pobożnością
Kobiety w całym świecie przewyższają!
Więc nie dziw, że się w sercu złych sąsiadów
Wylęgła czarna kaimowa zazdrość,

Z niej pożądliwość bezbożna, aż wreszcie —
Stało się z Polską jak z niewinnym Ablem.
Zacni sąsiedzi zwąchawszy się skrycie,
Przyszli między sobą do przekonania,
Że dla świętej zgody — którą-to niby
Bezbronna Polska im ciągle mąciła! —
Trzeba wziąć Polskę pod swoją opiekę.
I tak się stało: z samej ją miłości
Wnet udusili, jak wilki baranka.
Ale Polaki jednak nie barany,
Zaczęli dzielnie bronić swej swobody,
Ojczyzny, wiary, mienia i języka,
Przysięgłszy święcie: że póki Bóg Bogiem,
Polak Polakiem był — jest i zostanie.
Wiele tysięcy legło już ofiarą,
Młodych i starych, synów obok ojców,
Całe rodziny, siola, pokolenia, —
Ktokolwiek zdrowy i silne miał ręce,
Wszyscyśmy poszli spełnić obowiązek:
Wybawić matkę-ojczyznę lub umrzeć.
Ja byłem z nimi, a zawsze na przodzie,
Z czego się chlępić nie mam prawa, bośmy
Wszyscy do bitwy szli jakby do tańca.

Razu jednego, pamiętam jak wczoraj,
Było-to właśnie na samem przedmieściu
Warszawy, miasta największego w Polsce,

Gdy się ostatnia garstka naszych z chmurą
 Soldatów moskiewskich biła, a kule
 Jak grad się sypały, — wtedy to było,
 Że jedna z nich wreszcie i mnie dosięgła.
 Mocnom się zachwiał i z bólu i z gniewu,
 Acz pomyślałem: darować nie mogę,
 Zejdiesz wraz ze mną, kacapie, ze świata!
 I gdym strzał oddał — ostatni, lecz celny!
 Krwią własną zboczony padłem jak martwy.
 Długom tak leżał, aż okropne jęki,
 Płacz i modlitwy, skargi i przekleństwa
 Rannych, co wkoło mnie leżeli, także
 Mnie obudziły na nowo do życia.
 Niech was Pan Jezus zachowa, me dzieci,
 Od okropnego widoku zniszczenia
 Wojny i walki, krwi ludzkiej przelewu...
 Najokropniejszą noc całego życia
 Spędziłem wtenczas wśród bólu, rozpaczę,
 O nic nie prosząc z głębi serca mego,
 Jak oby Pan Bóg me cierpienia skończył,
 Grzechy darował i szczęśliwie skonać
 Dał za ojczyznę, a do nieba przyjął.
 Ale inaczej Opatrzność zrządziła,
 Bo umrzeć mi nie dozwoliła jeszcze.
 O północy bowiem przyszło cichutko —
 By ich moskiewskie czaty nie spostrzegły —

Kilku szlachetnych mieszkańców warszawskich;
 Ci mnie z innymi rannymi zabrali
 I do klasztoru odnieśli, gdzie księża
 Szpital dla rannych skrycie urządzili.
 Tu mi niestety! potrzaskaną nogę
 Lekarze odjęli... Odtąd kaleka
 Żyję z łaski bożej, patrzę na smutną
 Dolę ojczyzny i wyglądam śmierci...
 Tu wiarus pocziwy zalał się łzami
 I łkając przestał dalej opowiadać
 Z starcem i tkliwy Stasięk się rozplakał
 I rzekł dobrodusznie: »O brzydka wojna!
 Ja nigdy nie pójdę na wojnę, wolę
 Tu w lesie pasać konie nasze albo...«
 Ale Jaś dziarski, zuchwały junaczek,
 Zerwał się nagle z rozpalonem licem,
 I głosem, w którym siła męztwa drgała,
 Przerwał Stasiowi, postępując naprzód:
 »Wstydz się! Kto szczerze ojczyznę swą kocha,
 Nie boi się wojny, choć jej nie lubi.
 Ja pójdę na wojnę, skoro urosnę;
 A tatuś mi kupią czapkę rogatą,
 Czerwoną z barankiem — taką jak tam ta,
 Szablę mi dają, o konia poproszę.
 A bić i strzelać będę, że mnie żaden
 Już nie prześcignie aż do końca wojny,

Aż nieprzyjaciół z kraju wypędzimy;
Albo — i tu się namyślił i dodał:
Aż mnie samego Moskale zabiją.

Toć z rozczuleniem patrzył stary wiarus
Na rozpalone oblicze chłopięca,
Który na męża w jednej chwili dojrzał,
Rozgrzany ogniem miłości ojczyzny.
Potem zawołał: »Chodź, mój drogi chłopcze,
Niech cię uścisknę i pobłogosławię,
Luboś ty dzisiaj jeszcze jest za młody,
Aby ojczyźnie z bronią w ręku służyć.
Dziś więc, me dziatki, trzeba wam się uczyć
I za ojczyznę modlić się gorąco.
Ale jak podrośniesz, pamiętaj synu,
Gdy zawołają: do broni, na konia!
Przypomnij sobie, coś teraz obiecał,
A wtenczas się może i twój przyjaciel
Namyśli inaczej i pójdzie z tobą!«



Dwie róże.

»Dziewczę, rzekłem przy rozstaniu,
Masz dwa kwiatki róży:
Biała smutek, a czerwona
Niech mi radość wróży.

Jak powrócę, a tyś słowa
Szczerze dochowała,
Niech czerwona stanie w oknie,
A gdy nie — to biała.

Dzisiaj do mej wioski wracam;
Ale próżno szukam
Róż w okienku, w domu lubej
Długo do drzwi stukam.

Wchodzę wreszcie: w trumnie leży
Moja luba blada,
W ręku trzyma różę białą,
Z której liść opada...



Pierścionek.

Coś ponuro gruchotają
Koła młyńskie tam od młyńca,
Z niemi w chórze wiatr szeleści,
Jakby złowieszczą nowina.

Ej złowieszczą — wszakże wczoraj
Mi obrączka zaginęła,
Którą córeczka młynarska
Przy rozstaniu mi wręczyła.

»Póki, rzekła, będziesz pierścien
Miał ten, pewien bądź mej wiary;
Gdy się z nim rozstaniesz, wtedy
Wiedz, że kochasz senne mary.«

»Och, nie żartuj tak okrutnie...«
Rzekłem, widząc w jej źrenicy
Lzę błyszczącą, zapisałem
W sercu słowa mej dziewczicy.

Wiernie wiele lat strzeżony
Zginał wczoraj mi pierścionelek...
Słuchaj w turkot kół i burzy
Mięsza teraz się i dzwonek.

O mój Boże, tam od młyna
Idzie orszak pogrzebowy;
Z trumną bractwo ze świecami,
Na trumnie wianek myrtowy.

Dzwonek zamilkł, świece zgasty,
Wiatr wyszumiał i młyn stoi:
Bodaj burza w sercu mojem
Kiedyś jeszcze się ukoi!



Flisaka opis Wrocławia.

...Ale wam to padam, kumie,
Nikt wystawić se nie umie,
Co wam też ten Wrocław srogi!
Jak mi nasz Racibórz drogi,
Ale mierzyć — mój ty Boże!
Z tym Wrocławiem se nie może.
Jakem stary, śmiem powiedzieć...
Bo i ktoby tam mógł wiedzieć,
Ze to prawda takie miasto!
Dyc mój mózg to też nie ciasto,
(Boć mnie w szkole dość chwalili,
Chyba róz na tydzień bili)
Toć wydziwić se nie mogą,
Jak ten Wrocław wymyślili.
Serse jak opolská droga
Wam tam wszystkie są ulice;
Domy same kamienice,
Z tysiąc ich tam pono będzie,
A wszyscyutkie w jednym rzędzie.
Jegomości księcia zamek
Przeciw tam-tym lichy domek.
Wiercie, kumie, co wam padam
Scera prawda, Dziubów Hadam
Wam to samo, co ja powie.
Jesce dziś mi sumi w głowie,

No pomyśleć takie dziwy:
Co dom — to zamek prawdziwy,
Drzwi jak wrota do stodoły;
A cóż dopiero kościoły!
Więcej ich jak sto tam będzie,
A w nich kupa księdzów wszędzie;
Jakby w odpust pełno luda,
A muzyka rżnie na cuda
W robotny dzień i w niedzielę.
Choć to miemce, jednak wiele
Snać o Pana Boga dbają
Bo i świętych se stawiają
Na rynkach i przed bronami,
I na koniach i z sablami.
Jeden jakiś też z widłami
Cały nagi stoi w wodzie
I widłami smoka bodzie...
Co też to za różni święci!

Ha, a sklepy jak mrowiska!
Do nich cisną se ludziska,
Młodzi, starzy, srodzy, mali
Jakby tam za darmo brali.
Aniby se śniło w głowie,
Co tam mają ci zydkiwie,
Bo gdzie-no do sklepu spojrzysz
Wszędzie Icek albo Mojżesz

Z nosem krzywym jak obcegi
Chwali swoje ciąglegi,
Których kupę ma jak fura.

Ale wej, com też za rura!
Dyć co najpiękniejsze było,
Pedzieć wam se zabacyło.
Toć to Bartek Kościnoğa,
Kopidolów syn z Ostroga,
Co tam służy za trenkiera,
(Już ma knefle gifrajtera!)
Ten nas wywiódł dnia jednego
Do ogroda przepysnego,
Jak to mówią. Mnie se zdało,
Zeby słuszniej należało,
Zwać ten ogród rajem raczej,
Bo i w raju nie inaczej
Świątym kiedyś wyglądało.
Mniejsa tam o drzewa, kwiatki,
Choć z nich który może rzadki;
Ale co wam padam, bracie,
Może wiary mi nie dacie:
Otóż, jakie tylko zwierze
Pán Bóg stworzył: latoperze,
Żaby, sowy i króliki
Słonie, konie i jędzyki,

Orły, kawki i przepiórki,
Wilki, wiewiórki, jascurki,
Ryby, raki, wszy i żmije,
Jakie tylko są bestye:
Żółte, białe i czubate,
Pstre i nagie i brodate,
Lyse, kuse, rude, czarne,
Zgrabne, żywe i potworne;
Co jeno na łądzie żyje
I co se pod ziemią kryje
I co pluska w mokrej wodzie,
Wszycko, wszycko w tym ogrodzie...
A to wszycko wej! prawdziwe,
Nie malowane, bo żywe.
Zaś z tych bestyi malpic roje
Najwięcej baczenie moje
A i casu nám zabrały,
Bo szelmy dokazywały
Jak pijane lub szalone
Opętane czy sparzone:
Młynkiem w koło se kręcily,
Gryzły, biły, swawoliły,
Wyły i krzyczały wściekle,
Że w bóżnicy ani w piekle
Nie ma juz większego krzyku.

Ale wám se przyznám, stryku,
Gdym tak po zwierzyńcu chodził
I wokoło okiem wodził

Po niedźwiedziach i tygrysach,
Po wielbłądach i po lisach;
Spojrzał też na ich obory,
Piękniejse niż chłopskie dwory
Na te klátki malowane
I tabulki pozłócane;
Gdym na sutą spojrzał strawę:
Mięso, mleko, ziarno, trawę,
Jaką bestye miały w żłobie,
Wtedy pomyślałem sobie
I westchnąłem: Mój ty Panie!
Lepiej niż my chrześciance,
Lepiej niż twa czeladź święta
Żyją sobie tu zwierzęta.
Nieráz człek o chłodzie, głodzie
Napracuje se przy wodzie,
Prześpi se pod gołem niebem;
Nieráz tylko suchym chlebem
I bez soli głód umorzy —
Choć to prawda też dar boży! —
Po co tu te bestye siedzą
I próżnując darmo jedzą?
Ale pomyślałem dalej:
Niechaj dmucha, kogo pali!
Wsak mnie, jak było potrzeba,
Jesce nie zabrakło chleba;

A gadzina ta uboga
I bez duszy i bez Boga,
Żyje marnie, ginie marnie;
Ale kiedyś Bóg przygarnie
Nas swe dzieci róz do siebie,
By nám wynagrodzić w niebie..
Gdyśmy zwierze opuścili,
Juz my im nie zazdrościli.

Widzieliśmy jesce siła,
Tak izby nie wystarczyła
Bycza skóra na ten opis.
Bo dąlibóg, drogi kumie,
Kto nie widział, nie zrozumie,
Bo jest napatrzeć se cego,
Choć nie pomnę już wszyckiego,
Scera prawda, jakim stary
Jak na dziwnem patrział cary.

Jednak przyznám wám se, Stachu,
Nie obesło se bez strachu
W tym Wrocławiu. Bo te niemce
Na nas by na cudzoziemce
Jeno z boku zagłądali,
Jak kiebyśmy co porwali,
Szwargotając swą niemczyzną,
Co, jak wám se scerze przyznám,

Najmniej mi se podobało:
Boć to nasi zbudowali
Wrocław i tak go nazwali,
A te szelmy go zabrali
I na swój przekabacili,
Przestroili i przechrzcili,
Więc mi se ne podobało.
Ale my se dycki śmiało
Kupą do siebie trzymali,
To nám niemce pokój dali.

Ale to wám jesce padám,
Jak na lato Dziubów Hadám
Zaś se do Wrocławia puści,
To no z nim se raz zabierzcie.
Mojej rady, to mi wierźcie,
Nigdy nie pozalujecie,
A poznacie se na świecie!



Wizyta doktorska.

Minął miesiąc, jak Barbórka
Soltysa z Steblowa córka,
Stęka na jakąś chorobę.
Już sąsiadki na wątrobę,

Na żołądek, oberwanie,
Kołtun i na krwi wezbranie
I na płuca ją leczyły,
I na urok też kładzily, —
Wszystko darmo! Żaden proszek,
Krople i ziółka kumoszek
Chorej ulgi nie sprawily,
Z czego wszystkie się dziwiły.
Bo ten proszek i to ziele
Już nie raz nie jedno ciele
Od choroby wybawiły,
Czemużby jej nie służyły?
Wreszcie po głośnych naradach,
Mądrych domysłach i zwadach
Posłano — bo sama chora
Tak żądała — po doktora.
Próżne więc rady kumoszków,
Trzymać dalej się ich proszków;
Darmo dowodzą sąsiadki,
Że przypadek to tak rzadki,
Pierwszy nawet, niesłychany,
By korzonki te na rany,
Wrzody i wewnętrzne cierpienia
Jedyne, — by te korzenia
Barbórce pomódz nie miały.
Darmo gderaly, szeptały

I na wymysły lajały,
Wreszcie, jak Maciek prawdziwie
Ruszył, poszły niecierpliwie.

Po godzinie przed wieczorem
Maciek powrócił z doktorem.
Był to pan już podstarzały,
Krępy, krągły i nieśmiały,
Przybrany w tużurek szary,
A na nosie okulary,
Z brodą siwą i łysiną —
A że doktor — z mądrą miną.
Sam pan doktor zawsze wzniośle
Prawił o swoim rzemiośle;
Za to inni, chociaż z cicha
Posyłali go do licha
Z jego sztuką, mówiąc: lekarz,
Potem grabarz i aptekarz,
To zła trójka. — Gdy więc głowa
Owej trójki do Steblowa
Zjechała, zeszły się gburki,
Kmoty i ciotki Barbórki
Także, słuchając ciekawie
Zdania doktora w tej sprawie.
Doktor pogłaskał łysinę,
Zadął nosa, mądrze minę

Nastroił, potem odchrząknął,
Wydobył zegarek, bąknął
Coś pod nosem, okulary
Naprawił, wreszcie Barbary
Dłoń pochwycił, mądrej miny
Nie zmieniając z ćwierć godziny.
Wreszcie silniej znów odchrząknął
I z wielką powagą bąknął:
»No, ja powiem... mala chora
Obędzie się bez pastora.
Ale chorze kładać trzeba
Na brzuch plastr — tak jakby z kleba
Ciasto... to z takiej suszonej
Kocicy... i potluczonej
Na proszek... mąkę, ten dostanie
Się w apteki... i to tanie...«
Gdy pan doktor tak wybąknął,
Jak się godzi, znów odchrząknął;
Dłonią łysinę przyglądził,
Laskę wziął, kapelusz wsadził,
Spojrzał w koło śmiałym okiem
I poważnym wyszedł krokiem.

Jeszcze trzęsło się podworze
Pod kołami, kiedy w chórze
Jęły ciotki i sąsiadki
W strzębki rozbierać i płatki

Słowa mądrego lekarza.
Każda z przyciskiem powtarza
To słówko z doktora mowy,
Które jej właśnie do głowy
Wlazło i tam jej utkwilo,
Albo ją zastanowilo.
Wszczęła się więc waśń nielada,
Bo każda swoje wyklada,
Krzyczy, dowodzi lub łaje,
Dość, że każda z bab obstaje
Uparcie za swoim zdaniem
Zbijając drugie łajaniem,
Krzykiem, ostremi słowami,
Wreszcie dowodząc pięściami.
Gdy po językowej walce
Miały pięści już i palce
We krwi bratniej niemal brodzić;
Zaczęły się kmotry godzić,
I poważnione umysły
Zwolna w jedną myśl się sprysły.
Uznał tedy sąd babskiego
Zboru, że doktorowego
Przepisu myśl była taka:
Ot schwycić kota biedaka —
Wszak doktor mówił: kocicę!
Zabić i odrzeć ze skórki,

Mięso spalić, dla Barbórki
Na proszek; a dalej trzeba
Zmięszać na masę — jak do chleba
Mówił doktor, niby ciasto!
A że wieś ma tak jak miasto,
Może jeszcze lepsze koty,
I aptekarzowi złoty
Najmniej trzeba zapłacić,
Niepotrzebnie go bogacić:
Zabić więc wiejskiego kota.
Zaraz żywo się robotą
Rozpoczęła: pochwycono
Kota i w łeb uderzono,
Na płocie odarto z skórki;
Potem sąsiadki Barbórki
Spaliły kota na proszek,
A wprawne ręce kumoszek
Masę by ciasto wyrobiły,
Z krwią zmięszaną przyłożyły
Roztartą na kociej skórcie
Jako plastr na brzuch Barbórcie.

Lecz nazajutrz po doktora
Znów posłano; bowiem chora
Z tak starannie wyrobionej
Maści, ulgi upragnionej
Nie doznała. — Trójki głowa

Zjechała więc do Steblowa.
Lecz nie mało się zadziwił
Doktor, potem usta skrzywił,
Skoro krwawy plaster ujrzał.
Biedak głaszcząc wciąż lysinę,
Nie wie, jaką przybrać minę;
Okulary wciąż wyciera,
Z wzrokiem zmięszanem spoziera
To na krwawą kocią skórę,
To na soltysa Barbórkę.
Wreszcie poważnie odchrząknął
I z naciskiem tak wybąknął:
»Ten mój kocica to taki,
Rośnie w ogrodzie jak maki...
Jak proso — a wasz na szczury
Taki...« Potem fik! do fury
Ani skończył, dalej w nogi,
Słyszac blisko szmer złowrogi
Bab, które swój błąd nie mały
Spostrzegłszy, z wstydem poznały,
Że doktorowa kocica
Znaczy po polsku: gorczyca.



II.

Wiersze treści religijnej.





HYMN.

Daleś nam, Boże, serce, które czuje,
Daj i słów kłębek: niechaj się wysnuje
Cierpienie z duszy, a skra twego ducha
Niech się z ciasnego naczynia rozbucha,
Niech głos nieśmiały tony opanuje
Sfer twych i twym się serafom przysłucha.

Jako mgła ciała pozbawia postaci,
Tak w mglistych uczuciach serce się traci:
A choć czasami skra błysnie, nie daje
Ni światła ni ciepła, — tak gwiazda taje
W ciemnej nicości, ginąc śmiercią płaci,
Że oślep zeszła z niebios w ziemskie kraje.

Skra duszy, której niepowodzeń morze
Ani szalu burza zalać nie może,
Ni znów rozniecić w płomień jednostajny:
Ten błędny płomyk poziomy i skrajny,

Wszak się roztleje łąco i rozgorze
W słońcu odwiecznem w ogień życiodajny!

Lekki mój duchu, ku słońcu — ku Bogu!
Raz porzuć ciężar śmierci i barłogu,
To uczuć nieświętych, to myśli marnych,
To żalu płonnego, to życzeń gwarnych:
A raz dotarłszy niebieskiego progu
Już nie zapragniesz nizin żądzą skwarnych.

O Boże, u twej miłości kagańców
Rozgrzej chłodnego zwątpienia poddańców,
Spraw, niechaj w naszym na nowo zaświeci
Sercu nadzieja i wiara się wznieci:
Przemień nas, nie z swej winy samozwańców,
Znów na też tobie dawniej drogie dzieci!



W krzyżu zbawienie.

Gdy samozwańczych uczonych wymowa
I wrzкомо praktyczna mądrość światowa
W duszę ci rzuca niewiary nasienie:

W krzyżu zbawienie.

Gdy błędny miraż wielkości i pycha
Z ścieżki prawości do występku spycha,

Lub zgubą grozi zwodnicze marzenie:
W krzyżu zbawienie.

Gdy z oczu powabnych słodką truciznę
Ssie serce, z nią razem grzechu stęchlinę,
I w przepaść cię wabią głosy syrenie:
W krzyżu zbawienie.

Gdy cię nieszczerých samolubów tłuszcza,
Niegdyś przyjaciół, w potrzebie opuszcza,
A mężne serce ogarnia zwątpienie:
W krzyżu zbawienie.

Gdy jad zazdrości spokój serca toczy,
Nad zagrodą słońce zgody się mroczy,
Gdy źródło życia wysusza cierpienie:
W krzyżu zbawienie.

Gdy nędzna żądza serce ci pożera,
Lub żar rozpaczy do duszy się wdziera,
Płonne zgryzoty targają sumienie:
W krzyżu zbawienie.

A gdy się nakoniec bramy wieczności
Przed tobą otworzą, u potomności
Ty z grobem swoim pójdziesz w zapomnienie:
W krzyżu zbawienie.



Poddanie.

+ Czy z radości, czy z boleści
Serce w łonie żywiej bije;
Czy mię los pomyślny pieści
Lub się w zmroku smutku kryje:
Panie, taka moja dola,
Jaka twoja święta ~~wola~~ wola
Czy mię zysk niespodziewanie
Albo nagła spotka strata;
Czy mi zaszczyt się dostanie,
Lub zniewaga mię przygniata:
Panie, taka moja dola,
Jaka twoja święta wola. +
Czy statecznie zdrowie sprzyja,
Lub mię męczą srogie bole;
Czy mię z bracią harmonija
Łączy, albo zazdrość kole:
Panie, taka moja dola,
Jaka twoja święta wola.
Czy w słodyczy się rozplywa
Serce albo jęczy w skrusze,
Czy tęsknota je rozrywa
W walce ducha i posusze:
Panie, taka moja dola,
Jaka twoja święta wola.

Czy mię pozwiesz dziś do siebie
Czy mi dalej żyć rozkażesz;
Czy mię wynagrodzisz w niebie
Albo po ojcowsku skarzesz:
Panie, taka moja dola,
Jaka twoja święta wola.



Święty kościół katolicki.

Na skalistej stromej górze
Błyszczący w słońcu złota wieża:
Morze liże jej podnóże,
Fala po fali uderza.
U stóp góry wody syczą,
Lecz nie mogą wieży ruszyć,
Wichry wyją, burze ryczą,
Lecz nie mogą murów skruszyć.
Wód i wichrów prace marne,
Choć złośliwe im wtórują
Sowy ślepe, kruki czarne
Ostrych dziubów wciąż próbują;
Choć skrzydłami uderzają
W twarde mury jak szalone:

Głupie, martwe upadają,
Ale mury niewzruszone.

Złota wieża — to nasz święty
Kościół, nigdy nie zachwiany,
Katolicki i nietknięty
Na opoce zbudowany.

Wszakże wam i kruki znane,
Co swym dzióbem skale grożą!
Wszak i sowy zaziajane,
Co się tak na słońce srożą?

Niechaj wody, niechaj burze,
Piekło wszystek jad wyleje
Na ten kościół nasz na górze,
On się nigdy nie zachwieje.

Bo ten sam, co go postawił,
Bóg, Syn Boga, na opoce,
Zań to słowo swe zastawił:
»Piekieł go nie zmogą moce!«



On naszym pokojem.

List do Efez. 2, 14.

Oddawna dziś znów harmonijne tony
Słodczą serce moje napawają;

Nie brzmią wrzaskliwej w niem radości strony,
Ale się słodsze nad miód wylewają
Słowa na usta, jakie wraz poznałem,
Gdy Panu serce na nowo oddałem.

Zamilkły tony radości niezgodne,
Stała walka w sercu rozdrażnionem:
Bóg mój zwyciężył, a serce swobodne.
Bo jakże, Panie, w niem napelnionem
Laską twoją nie ma być każde słowo
Dla pieśni na twoję chwałę osnowa?



Pieśń wracających pątników.

Widzieliśmy Matkę Pana
Na niebieskim tronie
W świetle gwiazd i śpiewających
Archaniołów gronie,
I Dzieciątko, co się mile
Ku nam uśmiechało,
I swe rączki z łona matki
Do nas wyciągało.

Czołem bijąc świętą ziemię
Przed ołtarzem Pana

Upadliśmy, lud pokorny,
Wszyscy na kolana:
Co kto przyniósł, każdy złożył
Jemu swe ofiary,
Młodzian swoich losów przyszłość,
Swoję przeszłość stary.

Każdy z żywą się nadzieją
Do ołtarza zbliża:
Radość, smutek, całą dołę
Złożyć u stóp krzyża.
A łaskawa Pani nasza
Przyjmując ofiary,
Stokrotnemi za nie wiernych
Obsypuje dary.

Pani nasza, Ty wskazałaś
Nam do Ciebie drogi,
Prowadź dalej nas i poświęć
Naszych domostw progi,
Razem z nami w nie wstępując,
Zkąd nas znów bezpiecznie
Wyprowadzisz, aby z Tobą
Razem mieszkać wiecznie.



Powrót do ideału.

(Naśladowanie podług hiszpańskiego).

Precz —

Precz z wami, zwodnicze tony
Śpiewie bałwochwalczy, błahej poświęcony
Miłości i ziemskiej rozkoszy!

Precz urojonej cierpienia tęsknoty,
Swawolne żarty dowcipnej pustoty!

Precz i z nadzieją, niech ją wypłoszy
Z serca zakątków miłość prawdziwa,
Miłość jedyna i żywa:

Tam ta sen marny, nikczemny cień,

Tam ta noc ciemna, ta jasna jak dzień.

Duszo, wyzuj ohydne kajdany,
Zrzuc pancerz żelazny na ciebie wdziany,
Pancerz pozorów chorowitego,
I ocknij do życia nowego,
Życia prawdziwego.

Grzechu strach,

Żalu ach

I gorąca łza

Niech się wyleją potokiem
Z głębi serca, a przed okiem
Zniknie mroźna mgła;
Ziemskiej miłości samozwańcze jęki
W radość się zmieniają, a serca męki

Uniosą wiatry w zapomnienia dal.
O gdyby te jęki, płacze i żal,
Jakie mi wykradł zwodniczy świat
Z duszy zaćmionej, była niewinna
Słala myśl prosta, czysta, dziecinna
 Ku niebu, do Boga —
 Co za myśl błoga!

I wy, łez strugi, coście płynęły
Dla zazdrosnej, złośliwej
Małej urazy gniewliwej
Duszy, tak gęsto, — gdzieście zniknęły
Bez śladu, gdzieś w cieniach cierpkiej mary?
O gdyby żal skruchy, miłości, wiary
Był was wycisnął, byłybyście zmyły
Me winy i z Bogiem szczerze pogodziły.

Świątokradzko-ślepa Muzo!
Nie byłoż lepiej, szlachetniej
 Godzin, jakieś przedumała
 Chwaląc oczy ogniste
 I kosy złociste,
Spędzić wysławianiem Pana,
 Którego chwala
 Niezrównana,
 Nieprzerwana
 Zawsze brzmiała
Od pierwszego: Niech się stanie,

I na wieki nie ustanie,
W skalistych świata podwalinach,
Na wesółych ziemi równinach,
Na niebieskich wysokościach,
Przepaści głębokościach
I wód oceanie?

Myśli błędne, myśli chore,
 Zawsze skore
 Do chwalenia
 Falszu, złudzenia,
Gdzie nagroda za wasze pienia?
Cóż tak żywo tęsknemi skrzydły
 Ruszacie,
 Czego szukacie?
Jeśli was czoło wspaniałe,
 Wypukłe, białe,
Opięte złotych splotów wieńcem;
 Jeśli błękitna żrenica
 I gładkie lica
 Oblane rumieńcem:
Jeśli to was tak wabi i ludzi;
Czy znajdziecie pośród ludzi
Taką urodę, jaką przeczystej
Pani niebios wieczystej,
Matki Dziewicy błogosławionej,

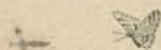
Która biednej duszy, zmęczonej
Cierpieniem czy rozkoszą, na pomoc spieszy,
Ratuje, cieszy,
Koi jej łkanie,
I wdziękiem serca, oka i głosa
Ożywia, jak świeża rosa
Kwiat zwiedły na oschłym łanie?!

* * *

...Mineły lata.
W wypadków zawieji
Mijały się zysk i strata;
Zwątpienia, nadziei
Uczucia, by szata
Zmieniały się w losów koleji.
I dusza się nieraz zachwiała,
Burzliwie zadrżała;
A serce się nieraz wyparło
Dawnego ideału,
Z ust słowo wydarło
Czasem chłodne,
Niesforne, niezgodne
Z chwilą zapалу:
Wątpilem, błądziłem,
Lecz zawsze wróciłem.

Co młodzięnczego
Zapału godzina
Ongi nuciła,
Dziś wieku męzkiego
Świadomość i wina
Stwierdziła:

W Tobie, o Matko i Pani jedyna,
Serce wesoło wołać nie przestanie —
Całe me szczęście, jedyne kochanie!



Ave Maria.

I.

Bądź, Maryo, pozdrowiona,
Matko litości,
Zorze słońca łask i chwały,
Zdroju słodkości.

Bądź, Maryo, pozdrowiona,
Pani aniołów,
Przyjmij także pozdrowienie
Z ziemskich padołów.

+ Nie odwracaj oczu świętych
Od twoich dzieci,

A z nich niechaj światło łaski
Nad nami świeci.

Poświęć nasze myśli, czucie
Dla twego syna,
Niech mu zawsze wiernie służy
Twoja drużyna.

Oświeć nam do nieba drogę
Śród ziemskiej nocy,
A w potrzebie nie odmawiaj
Nam twej pomocy. ✝

Przeciw światu stawaj zawsze
Z nami do boju,
Daj zwycięstwo, i do niebios
Przyjmij pokoju.

Bądź, Maryo, pozdrowiona,
Matko litości,
Przyjmując nas w uczestnictwo
Wiecznej radości!

II.

Zdrowaś bądź, Marya!
Skoro z ust anioła
Wyszło pozdrowienie,
Uchyliły czoła

Duchy, a sklepienie
Niebieskie zagrzmiało
Świętej Panny chwałą.

Zdrowaś bądź, Marya!

Na ten głos anioła

Piekło się wzruszyło

I strwożone woła:

Biada, co groziło,

Spełniać się zaczyna,

Bo przyszła godzina!

Zdrowaś bądź, Marya!

Na głos uwielbienia,

W smutku pograżony

Budzi się z strętwienia

Świat rozweselony,

I śle pod niebiosy

Swe dziękczynne głosy.

Zdrowaś bądź, Marya!

I do dziś poczwary,

Co nam spokój psują,

I ponętne mary,

Co nam duszę trują:

W radość nam zamienia

Słowo uwielbienia.



Gwiazda morza.

Bodaj strome góry,
Mielizny lub wały,
Bodaj grzmotne chmury,
Lody czy upały
Drogę nam zaskoczą;
Bodaj piekła chóry,
Bodaj się świat cały
Przeciw nam zjednoczą:
Próżne ich zabiegi
Zgubić naszą łódkę.
Bo z sobą przewodkę
Wieziem: Morza gwiazdę.
Ta nam morską jazdę
Uczyni bezpieczną,
Wskaże przystań wieczną,
Chmurną noc rozświeci,
I z przelicznych sieci
Zasadzek wybawi,
Wolny przejazd sprawi
Nam do niebieskiego
Portu bezpiecznego.
Witaj, Gwiazdo morza,
Witaj, Matko boża!



Panna można.

Święta, potężna,
Wspaniała, mężna,
Przecudnej urody i siły Pani!
Tobie z ufnością,
Tobie z miłością
Dzieci kłaniamy się, wierni poddani.
Ty niezgłębiona,
Niezwyciężona
Królowo nieba i ziemi,
Nie gardź ukłony naszemi.

Niebieskie gońce,
Gwiazdy i słońce
Złotą koroną stroją twoje skronie;
Jakby sukienka
Krasna jutrzeńka
Różana na twem świętem ciele płonie;
Doliny, góry,
Lasy i chmury,
Wody, przepaści i łąny,
Tobie świat cały poddany.

Ciebie chwalimy,
Ciebie prosimy,
Matko litości, o racz wspomnieć o nas,

Gdy swoje chciwie
Dłonie złośliwie
Nieubłagana śmierć wyciągnie po nas.
Racz nas ratować,
Racz nas uchować
Wtedy od strasznej otchłani,
Matko łaskawa i pani!



Pieśń o świętym Józefie.

(Salve, pater Salvatoris).

Bądź pozdrowion, Zbawiciela
Ojcze i Odkupiciela
Wierny, Józefie, piastunie!
Bądź pozdrowion, cnej dziewicy
Mężu, a Bogarodzicy
I jej syna opiekunie!

Kto śmie trudy twe wymienić,
Kto zachody wsze ocenić,
Jakiemiś przez długie lata
W cierpliwości i pokorze
Otaczał dzieciątko boże:
Syna twego — władcę świata!

Toś do serca go przytulał,
Z nim się bawił, z nim rozczulał,
W jego oku przeglądało
Twoje się, nienasycone,
I miłością rozpalone
Nową miłość z niego ssało.

Toś mu, jako pana swego,
Jak stwórcę wszechmocnego
Wielbiąc, boską cześć oddawał;
Toś jako synowi swemu
Tobie kornie poddanemu
Ojcowskie rozkazy dawał.

A twoje ojcowskie troski
Wynagrodził ci syn boski
Przez serdeczną wdzięczność swoją,
Rozradzając twoje cnoty,
Trudy mieniać ci w klejnoty
Zasług i łask nowych zdroje.

Żywot twój niby powszedni,
Każdy czyn choćby pośledni
Służbą bożą był prawdziwie:
Którę ci śmierć upragniona,
Życia świętego korona,
Zakończyła świętobliwie.

Kto jak ty, Józefie, kona,
Tego śmierć błogosławiona,
Ten konaniem Boga chwali:
Bowiem od twojego łoża
Z synem bożym matka boża
Ku niebiosom modły ślali.

Takim tedy dziełom, cnotom,
Wielkim duszy twej przymiotom
Równa się nagroda w niebie,
Jaką stwórca przed wszystkimi
Aniołami i świętymi
Zaszczycił, Józefie, ciebie.

Bo jak niegdyś w Nazarecie
Pan wszechświatów, boże dziecię,
Tobie zechciał być poddanym:
Tak cię w niebie uczestnikiem
Łask swych zrobił i skarbnikiem,
A swojego serca panem.

Ktoby więc, Józefie święty,
Szczerą czią k'tobie przejęty,
Nie miał kochać cię serdecznie?
W życiu ciebie mieć patronem,
W śmierci zbawienia zwiastunem,
Z tobą się połączyć wiecznie?

Toć i my się uciekamy
Do ciebie i polecamy
Twemu sercu ojcowskiemu:
Uproś nam win przebaczenie
I zapewnij dusz zbawienie,
Oddając synowi swemu!

Poleć też oblubienicy
Twojej nas, czystej dziewicy;
Bo gdy nam ty swej opieki
Z Maryą i synem bożym
Nie odmówisz, pewni możemy
Z wami cieszyć się na wieki.



Pieśń o świętej Teresie.

Sancta Teresa,
O lux Carmeli!

Święta Tereso,
Światło Karmelu,
Któryś w urodzaj
Nowy i sławę
Ty przyodziła:
Cześć ci, niewiasto potężna!

Ty siedmioletnia
Pragniesz krew przelać,

Szukając wroga,
Śmiejąc się z śmierci
Wspaniałomyślna:
Cześć ci, dziewico stateczna!

Miłość do Boga
Przenikłszy ciebie,
Nieugaszonym
Ogniem zraniła
Wielkie twe serce:
Cześć ci, matko seraficka!

Rosę mądrości
Świętej i zdroje
Umiejętności
Z promieniami światła
Zlewasz ty na nas:
Cześć ci, naczynie mistyczne!

O gołębico,
Matko bogata,
Niewysławiona;
Jak wieleś dzieł
Bogu zrodziła:
Cześć ci, gołąbku cnotliwy!

O pelikanie,
Który piskłęta

Duszą swą karmisz,
Własną krwią poisz,
Matko chwalebna:
Cześć ci, tkliwa karmicielko!

Lotny sokole,
Który swem skrzydłem
Szczytów Karmelu
Śmiało docierasz,
Szczęśliwa duszo:
Cześć ci, sokole niebieski!

Prawy feniksie,
Który w płomieniach
Całkiem spłonawszy,
W nich się odradzasz,
Błogosławiona:
Cześć ci, ofiarno miłości!



Pieśń o świętym Kazimierzu.

Casimire, quid moraris!

Cóż się wahasz, Kazimierze?
Czy ci się sprzyrzyło życie?
Wejź lekarstwo w dobrej wierze,
Chodź dla słabszych — użyj skrycie!

Kazimierzu, ratuj zdrowie
I co lekarz każe, zrób!
— Wolę umrzeć w dni połowie,
Niż czystości złamać ślub!

Ale życie, to rzecz droga,
Ścieżką wiodącą do nieba,
Życie — dar najdroższy Boga,
Cenić i ratować trzeba.
Kazimierzu, ratuj zdrowie
I co lekarz każe, zrób!
— Wolę umrzeć w dni połowie,
Niż czystości złamać ślub!

Pomnij na tve młode lata,
Przykro w wieku twym umierać;
Mądrzej, rychło użyć świata
A pory nie sponiewierać.
Kazimierzu, ratuj zdrowie
I co lekarz każe, zrób!
— Wolę umrzeć w dni połowie,
Niż czystości złamać ślub!

Lud cię pragnie, Kazimierzu,
Widzieć na królewskim tronie;
Za cię płyną przy pacierzu
Łzy i wznoszą liczne dłonie.

Kazimierzu, ratuj zdrowie
I co lekarz każe, zrób!
— Wolę umrzeć w dni połowie,
Niż czystości złamać ślub!

Wolę ciało ofiarować,
Świat i życie tysiąc razy,
Byle duszę swą zachować
Wolną od nieczystej zmaży:
Dusza — niebo — Bóg od złota
Droższe, co mi zdobi skroń,
Więc umieram, byle cnota
Ocaliła czystą woń.



Hymn na cześć świętej Jadwigi.

Niechaj wiernych głosy
Idą pod niebiosy,
A z niemi świat cały
Zagrzmie dziś od chwały
Chrystusa!

Bowiem dziś święcimy
I razem chwalimy

Z aniołami świętą,
Do ich grona wziętą
Jadwigę.

Że na tej dolinie
Tak wiele łez płynie
I tak siła złego,
Więc nas zbaw od niego,
O matko!

Zdrożnych zmór katusze
Niepokoją duszę,
Do walki wyzywa
Często żądza chciwa
Cielesna.

Spraw, by od zmysłowych
I pokus światowych
W sercu oczyszczeni
Bylim dopuszczeni
Do nieba.

Pomiędzy świętami,
Pani, ty mnogiemi
Świecisz zasługami
I słyniesz cudami
Wielkiemi.

Ciebie chwałą chrome,
Głuche, niewidome,
Którym przywróciła
Twej modlitwy siła
Znów zdrowie.

Twej prośby potęga
Aż do grobów sięga:
Ty ożywasz groby,
Tu kruszysz choroby
Wszelakie.

Jadwigo wsławiona,
Sługo zasłużona,
Dziś w niebieskim kraju
Słodkich pociech raj
Zażywasz.

Tam ciężar starości,
Tamże duszne mdłości,
Nieprzyjaciół ciosy,
Życia zmienne losy
Nieznane.

Lecz aniołów grona,
Świętych niezliczona
Rzesza tam śpiewają,
Boga wychwalają
Bez końca.

On niech z twej przyczyny
Daruje nam winy,
Przyjmie nas do siebie,
O to prosim ciebie,
Jadwigo!



Pieśni Mojżesza.

I.

(II. Mojż. 15.)

Śpiewajmy i chwalmy Pana,
Bo jego wielka wygrana:
On jeźdźce i konie
W morskich wód tonie,
Gdy się oburzył,
Ponurzył.

Pan mojem ramieniem,
Mojem zbawieniem
I pieśnią mej chwały.
Przed jego imieniem
Świętem kłaniały
Się przodki i moi ojcowie:
On wszechmocnym się zowie.

On jakby mąż boju
Pokruszył wozy wojenne,
A wybrane wojowniki,
Książęce naczelniki
Z Faraonem
Potopił w morzu czerwonym:
W głębie bezdenne
Poszli jak bryły kamienne.

Twoje to ramię, Panie,
Zdziałało dziwy:
Twej możnej prawicy
Nie sprostali przeciwnicy:
Twój gniew zapalczywy
Pożarł ich, jak płomień na łanie
Słomę pszenicy.
Dechem twej zapalczywości
Tknięte bałwany
Stały jak ściany,
Opadły morskie głębokości.

Wtedy rzekł wróg:
Pójdę ich śladem,
Położę pokładem,
Mieczem poduszę,
Nasycę swą duszę
Zdobyczą jak stóg!

Twój oddech ich zgniótl,
Jak wiatr ich zmiotł:
Jak olów tonęli,
Bez śladu zniknęli.
Kto z świata możnych,
Kto z bożków zdrożnych
Śmie z tobą się zmierzyć?
Kto śmie w świętości,
Strasznej chwalebności
Ciebie ubieżyć?
Tyś podniósł rękę:
Ziemia się otwarła
I bezbożnych pożarła;
Bo skinienie twej ręki — to cud.
Potem twój lud,
Któryś oto wybawił,
Zajął mieszkanie,
Jakiś mu sprawił
Na wieczne posiadanie:
Izraela częstką Ziemia obiecana,
Dziedzictwo Kanaana.

Narody usłyszały
I zadrżały:
Boleść mdła i sina
Opadła Filistyna.

Ruszyły się książęta Edomitów,
Zachwiali moabscy mocarze,
I opadły Kananitów
Zdrętwiałe twarze.

Z dziękami, o Panie,
Wysłuchaj dalsze wołanie:
Niech ramię twe dalej sieje
Pomiędzy nimi postrach i trud,
Niech męstwo ich skamienieje,
Aż przejdzie cały twój lud,
Aż go sprowadzisz
I mocno osadzisz
Na górze wysokości,
Twojej własności,
Którąś na mieszkanie
Sobie obrał, Panie!

Nasz Pan rządzi
Od wieków do wieków i sądzi.
Gdy Faraona wozy i konie
I zbrojni rycerze
Dumni skoczyli w morze,
Pan pogrzebł ich w jego łonie,
A Izraela za rękę bierze
I prowadzi przez suche łoże.

Śpiewajmy i chwalmy więc Pana,
Bo jego wielka wygrana:
On jeźdźce i konie
W morskich wód tonie,
Gdy się oburzył,
Ponurzył!

II.

(V. Mojż. 32.)

Słuchajcie, co głoszą niebiosy,
I ziemia niech słucha

Na moje słowa:
Niech nauka moja jak rosa,
Jak deszcz na łany, mego ducha
Spływa wymowa!
Panu dajcie wielmożność i chwałę,
Bo wzywać będę imienia pańskiego,
Gdyż sprawy jego arcydoskonałe,
Wyrokiem sądu wszystkie drogi jego.
Pan, Bóg nasz, sprawiedliwy i wierny,
On święty, prawy i miłosierny.

Jemu zgrzeszyli,
Przeniewierzyli
Się nie-synowie smrodliwi...
Narodzie szalony! niepomny,
Że on, twój ojciec dobrotliwy,

Takżeż panem, co cię posiadał, bo stworzył,
Z prochu dźwignął i rozwiłmożył?
Wspomnij na dni dawne, ludu wiarołomny,
Rozmyślaj wszystkie rodzaje,
Zapytaj ojców czy dziadów,
Ażali który inaczej zeznaje?
Gdy Pan znaczył granice sąsiadów
I gdy rozdzielał syny adamowe,
Wtedy zatrzymał szczepy Jakóbowe
Za swoją częśćkę, dziedzictwo odwieczne.
Nalazłszy je w ziemi pustej,
Jakoby z strasznej ciemnicy
Wziął i obwiodł bezpiecznie,
Wprowadził do ziemi tłustej,
Strzegąc jak własnej żrenicy.

Jak orzeł orłęta ku lataniu wywabia,
Nad niemi kołuje i sił im dorabia,
Tak rozparł Pan jakby skrzydeł dwoje
I wziął Izraela na ramiona swoje.
Osadził go potem wśród ziemi
Urodzajnej i pysznej wysoce
Pomiędzy ludy sąsiedniemi:
Aby jadł polne owoce,
Aby ssał miód z twardej opoki
A z skały oliwy potoki.

Aby tłuste nabiały
Naczynia mu napelniały,
Aby spożywał młode
Kozłeta, jagnięta,
I smaczny chleb z przedniej pszenicy,
I tłoczył winną jagodę
Szczerą, jak krople krynicy.

I roztył się, którego tak polubił:
Stężały —
Stłuszczały —
Spęczniały —

Zapomniał, co Panu poślubił,
Wyparł się Boga Stworzyciela,
Odstąpił Zbawiciela.

Więc synowie Izraela
W bożkach cudzych Go obrazili,
Obrzydliwością do gniewu wzruszyli.
Nie Bogu, bo czartom ofiarowali,
Nie-bogom, których nie znali,
Nowotnym, drewnianym,
Ich ojcom nieznany.

A Pan spojrział. I jego gniew
Poruszył się jakby lew
Na syny i córę wyrodne.
I rzekł: Schowam przed nimi, że niegodne,

Oblicze moje, i zasięde
I końcowi ich przyglądać się będę.
Rozdrażnili mnie w próżności
Tym, który nie był bogiem;
Ja drażnić je będę w zapalczywości
Narodem głupim, acz mnogim,
Tym, który nie moim ludem.
Ogień mojej zapalczywości
Gorzeć będzie aż na piekła spodzie,
Ziemie pożre i jej urodzaje
I gór fundamenta na popiół spali.
Więc wypuszczę na nich całą zgraję
Duchów piekielnych, jak z sajdadu strzały:
Głód i mór ich o ziemię powali,
Ptaki swe dzioby, a bestye zęby
Będą w nich zapuszczały,
A paszcze gadów będą kłęby
Jadu i ognia na nich buchały.
Miecz ich zewnątrz
Wydławi,
Strach wewnątrz
Strawi,
Młodzieńce, dziewczątka,
Ssące i dziady...

I rzekną:
Gdzie po nich pamiątka?

Gdzie poszły ich ślady?
A zrobię to bez pomocy
Nieprzyjaciół waszych,
Byście się nie pysznili,
Mówiąc: Myśmy to sprawili
Bez pana, w mocy
Rąk naszych!

Lud to bez rady, bez roztropności!...
Udziel im przeto, o Boże, mądrości,
Aby zawczasu spoważnieli
I na koniec rzeczy patrzeli.
Albowiem wedle twego wyroku,
Tysiąc z nich jednemu nie dotrzyma kroku,
A dziesięć tysięcy da przed dwoma tyły,
I przed cudzymi sędzmi będą kark chyliły.

Winnice ich z sodomskiej winnicy,
A jagody z przedmieścia Gomory:
Jagody żółci, cierpkie jak bylicy
Korzonki i liście łopuchy,
Wino ich żółcią smoków i ropuchy. —
Jak skarby w cieniach komory
Zapieczętowane,
Tak winy ich w mojej pamięci
Zapisane:
A gdy przyjdzie mój czas,
Wtedy biada dla was,

Przekłęci!
Do sądu zasięde
I mścić się będę.
Ale co wierni, nad tymi się ulitują,
Własną ręką ich wyratuję
W potrzebie.
Gdy przyjdą do siebie
I nawrócą się szczerze
W modlitwie i ofierze,
Gdy poznają
I wyznają:
Niema Boga, jak Bóg Izraela!



Pieśń dziękczynna króla Ezechiasza.

(Izaj. 38.)

Zachowaj mię, Panie,
A chwata twoja w dziękach
I pieśni mojej wdziękach
Na wieki nie ustanie!

Rzekłem:
W połowie dni mego żywota
Stałem przed piekłem,
Które przede mną roztwarło swe wrota.
Ostatka lat moich nie doliczę

I do Pana wyglądam daremnie,
Bo ode mnie odwrócił oblicze.

Żywot mój ode mnie

Wzięty

I zwinięty

Jak namiotek pasterza;

Przecięty

Jak tkacka nieć,

Gdy ledwie zaczynam żyć.

Dłoń twoja uderzy:

I od wieczora do rana

Sprawa moja dokonana,

Jak lew połamięsz mi kości.

Ale od wieczora do rana

Nadzieja ma niezachwiana:

W mojej słabości

Stękać nie przestanę

Jak pisklę jaskółcze, jak gołębica

Aż wysłuchanym zostanę,

Aż mi zemdleje żrenica

Od spoglądania ku górze świętej,

Zkąd moje zbawienie.

Boże, spojrzij na moje cierpienie!...

Ale cóż rzeknę, i co mi Bóg odpowie,

Kiedy to jego dzieło: moje wycieńczenie?..

Lata moje w myślach odnowię,

W goryczy skruszę

Swą duszę.

Panie, gdy tak odnowię mego ducha,

Tvoja łaskawość tedy mię wysłucha:

Nie szczędź, Panie, kar,

Lecz wróć życia dar! —

Gorzka gorzkość moja ukojona.

Albowiem dusza moja wybawiona

Przez ciebie,

Któryś grzechy me rzucił za siebie.

Wszak zmarli nie siedą,

Aby cię wyznawać,

Ani piekło i śmierć nie będą

Twych słów rozpoznawać.

Żywy, żywy tylko — jako dziś ja! —

Wychwalać będzie twe czyny,

A chwała twa

Przejdzie od ojca na syny.

Zachowaj mię, Panie,

A chwała twoja w dziękach

I pieśni mojej wdziękach

Na wieki nie ustanie!



Supplikacya.

Media vita in morte sumus.

Gdy rzekomo na szczybie
Najwyższym już życie:
Śmierć ku nam się zbliża.
Gdzież tedy, Panie, pójdziemy,
U kogo pomoc znajdziemy,
Gdy nie u twego krzyża?
Do ciebie więc bieżym, Panie,
Co prawą ważysz karanie,
W lewej dierzysz zlitowanie!
W twojem pokładając słowie
Nadzieję, nasi ojcowie
Należli życie i zdrowie:
Święty Boże!

Nasi ojcowie wołali
Do ciebie, tobie dufali
I zawodu nie doznali:
Święty mocny!

Gdy nam wiek pośrebrzy skronie,
Gdy jak widma stare grzechy
Straszyć zaczną duszę w łonie:
Nie odmawiaj swej pociechy,

Nie gardź prośbami naszemi,
Umieść nas między świętymi:
Święty i miłosierny!



Dies irae.

W gniewu godzinę biada nam, biada,
Gdy świat gorejąc w proch się rozpada,
Jak Dawid i Sybilla powiada.

Na kuli ziemskiej głuchy płacz wszędzie,
Drzeć ziemia sama i jęczeć będzie,
Gdy straszny sędzia na tronie siędzie.

A jak strasliwym głosem anioły
Trąb zawołają, zadrzą padły
Ziemskie i wstaną z grobów popioły.

Wtedy otworzy sądową księgę
Sędzia, by spełnić daną przysięgę
Swą i okazać straszną potęgę.

Z niej skryte i jawne świata dzieje
Pan odczytuje, człowiek truchleje;
Bo kto przed sędzią tym ocaleje?



I co ja grzeszny rzeknę do Pana,
Gdy sprawiedliwym mdleją kolana,
Czem się obroni dusza stroskana?

Bądź litościwym sędzią nam, Panie,
Wielki w twej łasce, daruj karanie
Naszych win, patrząc na nasze łkanie.

Dla świętych ran twych, mój Jezu drogi,
O Boże w miłosierdziu tak mnogi,
Odwróć odemnie sąd ten tak srogi.

Ty coś darował win przebaczenie
Łotrowi z krzyża i Magdalenie,
Czy też nie dla mnie twe odkupienie?

Nie staw śród kozłów mnie po lewicy,
Lecz śród baranków po twej prawicy,
Przyjmując mię do twojej stolicy.

Zlituj się w chwili sądu strasznego.
Nad nami, Panie, i weź do twego
Nas łaskawie pokoju wiecznego. Amen.



Na jubileusz Ojca świętego.

(1869).

Miasto święte, Rzym wspaniały,
I potężny Piotrów tum
Dziś za ciasny, dziś za mały,
By pomieścić wiernych tłum,
Który przybył, ojciec święty,
K'tobie miłością ściągnięty.

Bo pół wieku trwa przymierze,
Jakieś u ołtarza stóp
Zawarł w pierwszej mszy ofierze
Z Bogiem, jakieś wieczny ślub
Wziął z oblubienicą Pana:
Ślub kościoła i kapłana.

Czas ulotny już napruszył
Białym śniegiem twoję skroń,
Ale duszy sił nie skruszył:
Twoja dotąd mocna dłoń
Ściąga na świat niebios dary,
Powstrzymując gniew i kary.

Ale dziś obficie zlewa
Się przez ciebie morze łask,
Dziś rozjaśnia i ogrzewa
Żywiej twej świętości blask

Wiernych, łzami rosząc oczy,
Jakie radość z serc nam tłoczy.

Ile dróg do rzymskiej ziemi
Wiedzie z miast, pałaców, chat,
Dzisiaj garnie się wszystkiemi
W bramy Rzymu wierny świat,
Aby z tobą rzadkie dzielić
Szczęście, modlić się, weselić.

My zaś dziatki śląskiej ziemi,
Którym nie pozwolił Bóg
Rzucić się dziś wraz z drugimi,
Ojcze święty, do twych nóg:
Duchem bawimy u ciebie,
A po części też i w niebie.

W duchu szczere dla cię chęci
I życzenia ślemy tam;
Bóg łaskawy je poświęci
I pobłogosławi nam,
Gdy się zejdzem tam na gody:
Pasterz, baranki i trzody.



Na powitanie biskupa.

(1884).

Uroczyście biją w dzwony,
I wesolo grzmia organy,
A nabożnie nastrojony
Wita lud, a z nim kapłany
Arcypasterza swojego,
A posłańca też bożego.

Pyszne gmachy, skromne chaty
Równie się przybrały strojnie;
Zbożna dziatwa ściele kwiaty,
Ojcze, ci pod nogi hojnie
I wita rozradowana,
Co nam idziesz w imię Pana.

Ach, bo lata już pragniemy,
By posłaniec Chrystusowy
Łaskami apostolskiemi
Nas pokrzepił, poparł słowy,
Skropił grzeszną serca suszę
I otuchę wlał nam w duszę.

Wszak dziś piekło i moc świata
Zaslepiona i chełpliwa
Nas potęgą swą przygniata,
Do poddania hardo wzywa;

Lecz im mocniej w nas uderza,
Mocniej stajem do pasterza.

Którego wypróbowana
Wiara, dobroć i prostota,
Godnością arcykapłana
Namaszczona mężna cnota
Do podziwu nas porywa
I naśladowania wzywa.

Witaj przeto, przewielebny,
W gronie twych, biskupie, dzieci!
Święty urząd twój chwalebny
Niech w nas płomień wiary wznieci,
Święty duch przez ręce twoje
Zleje na nas łaski zdroje

My zaś wdzięczne, acz ubogie
Dziatki w darze ci składamy
Serca nasze, oraz mnogie
Prośby kornie zasyłamy,
By Bóg wynagrodził ciebie
Za nas tym sowniej w niebie.



Świętopietrze.

Jak Pan Jezus niegdyś i Piotr
Darowanym chlebem żyli,
Tak też ich następcy rzymscy
Głód swój jałmużną karmili.

Tak powstało świętopietrze,
Które chętnie i panowie
I książęta i wieśniacy
Składali kościoła głowie.

— Raz rzekł Karól, król francuzki:
»Ojcze święty, tak dla ciebie
Się nie godzi, bo i przykro
Żyć o wyproszonym chlebie!«

I to rzekłszy król, darował
Papieżowi kawał ziemi,
Żeby sobie żył z godnością
I się dzielił z uboższymi.

Tysiąc lat tak dzielił papież
Darowiznę z żebrakami:
Dziś sam żebrak, jak Piotr święty
Żyje wiernych znów groszami:

Bo wyrodny syn kościoła
Wydarł mu dar Karolowy,

Zabrał hojne świętopietrze,
Okradł kościół, chorych, wdowy.

Już wymarły też książęta,
Już i pany bogobojne,
Którzy niegdyś papieżowi
Nieśli świętopietrze hojne.

Biedny, drogi ojcze święty,
Opuszczony od twych dzieci,
Któreby cię karmić miały,
Żyjesz skąpym datkiem kmieci...

Ale daruj, ojcze święty,
Bo i my się zawinili,
Żeśmy cię modlitwy mieczem
Dzielniej, wierniej nie bronili.

Że więc z naszej także winy
Cierpisz głód i niedostatek,
Przyjmij, prosimy, lzy żalu
I poprawę twoich dziątek.

Od tej chwili nie przestaną
Modły nasze biedz do nieba
Za cię, ojcze, a w twym domu
Nie ma więcej braknąć chleba.

Prawda, że my sami biedni
Tylko wdowi grosz składamy,
Ale za to tym bogatszy
Skarb ufności posiadamy;

Że ten, który tak cudownie
Chleb pomnożył na pustyni,
Dziś dla ciebie uproszony
Jeszcze raz ten cud uczyni.



Rodzina święta.

(Obrazek).

W mieście Nazaret widzisz skromny domek,
Ukryty w cieniach winą i oliwy:
Tam mieszka królów żydowskich potomek,
Ubogi cieśla, Józef świętobliwy.

Szabat czy święto jakieś obchodzono,
Bo choć daleko jeszcze do zachodu
Słońca, już świętej rodziny grono
Spoczywało w chłodnych cieniach ogrodu.

Ktoby nie wierzył w świętość tej rodziny
Albo jeśli ciekawość go nęci,
Niech spojrzy, a przyzna się rad do winy,
Pozna i rzecze: Zaprawdę to święci!

Niech spojrzy, jak postać Matki-Dziewicy
Urok promiennym obłokiem okrywa,
Niech spojrzy, a wyczyta z jej źrenicy,
Że taką uroda ziemską nie bywa.

Ach, ale dzisiaj anielskie wejrzenie
Myśli złowieszcze smutkiem ocieniają,
Jak chmurki na jasnym niebie tak cienie
Na czole Maryi się przesuwają.

Tam zaś, gdzie w dali szczyty gór sinieją,
Złożone dachy i poważne mury
W blasku słonecznych promieni jaśnieją,
To Jeruzalem, to judejskie góry.

Tam więc wskazuje świętej matki ręka,
Duch się na myślach jak na skrzydłach wspina
W przyszłość, więc przed jej okiem stawa męka
I śmierć bolesna jedyne syna.

W tem dziecię, co się dotąd u nóg matki
Cicho bawiło, patrzy pełne ducha
Także na miasto i, ciskając kwiatki,
Z współczuciem na westchnienia matki słucha.

Matka porywa je tuląc do łona,
I w swoje dłonie jego rączki kryje,
Na których jeszcze nie widne znamiona,
Jakie żelazo kiedyś w nich wyrzyje.

Obok Jezusa przystanął Jan Chrzciciel,
Z krzyżykiem się bawiąc, godłem boleści,
Jakoby przeczuwał, że Odkupiciel
Przy nim, i co się w krzyżu dla nas mieści.

Matuchna zaś Anna łzawem spoziera
Okiem na córkę to na swego wnuka,
I czasem skrytą łzę z oka wyciera
Lub u Józefa tłumaczenia szuka.

Jedne łzy bowiem radość jej wyciska,
Gdy spojrzy na wnuka ukochanego,
Na widok zaś córki cierpiącej tryska
Źródło łez gorzkich współczucia rzewnego.

A głowa rodziny, Józef sędziwy,
Spogląda wkoło jakby w uniesieniu,
Spokojne oblicze podniósłszy, tkliwy
Wzrok utkwil w niebie jakby w zachwyceniu.

Teraz i dłonie do góry podnosi
I w rzewnych słowach wylewa wezbrane
W sercu uczucia, gdy za drogie prosi
Osoby jego opiece oddane.



Legenda skandynawska.

(Allegorya).

W ojczyźnie zimy, w podbiegunowej krainie
Leży ostrów grenlandzki, mglisty i ponury;
Jego wnętrze zasłaly śnieżyste pustynie,
A brzegi opasały lodowate góry.
Raz przed wielu laty — niesie stare podanie,
Zadrżała cała wyspa, zachwiały się lody,
A na śnieżnym, skałami opasanym planie
Wytrysło nagle źródło żywej, ciepłej wody.
Ciepłej strugi ożywcze promienie stworzyły
Śród mroźnej pustyni prawdziwy raj cudowny:
Karłowate wrzosa, półmartwe mchy ożyły,
Skały się przyodziały w kobierzec nadobny.
Wkrótce potem, nie wiedzieć zkąd się sprowadzili
Zakonnicy pobożni z świata dalekiego;
Najprzód kościół, a potem klasztor wystawili,
Służąc chwale Boga i miłości bliźniego.
Wnet osadę klasztorną otoczyły wkoło
Sady, pola i łąki, hasały wesoło
Baranki, a gołębie gruchały na drzewie,
Wtórując zakonnikom w ich pobożnym śpiewie.
Przy furcie się ciśnie od rana do wieczora
Co dzień rzesza ubogich, a oko przeora
Samego czuwa, by wziął każdy, co mu trzeba,
Czy słowo pociechy czy lekarstwa czy chleba.

Gdy się wieść zaś z czasem przedarła między ludzi
O tajemniczym źródle na grenlandzkiej ziemi:
Zaraz się w świecie chciwość i ciekawość budzi,
Aby poznać raj ten, i z braćmi zakonnymi
Dzielić skarby i szczęście. Więc liczne okręty
Puściły się z stron różnych na szerokie morze,
By odszukać zakątek zagadkowy, święty.
Lecz niestety, nikt dotąd go znaleźć nie może.
Więc jedni, szczęśliwi, powrócili znużeni,
Drudzy potonęli, swą chciwością złudzeni. —
A jednak, kto rozważnie i kto w dobrej wierze
Wyprawił się odkryć cudowne źródło wody,
Może za swą wytrwałość być pewnym nagrody,
Jaką tam w czarodziejskim klasztoru odbierze:
Lecz tego nie osiągnie ni żaglem ni wiosłem,
Jedno sercem niewinnem, pokornem i wzniosłem.



Gwoździki leśne.

Kiedy ciało Zbawiciela
Z krzyża zdjęto, wtedy krwawe
Gwoździe, które je trzymały,
Z brzękiem upadły na trawę.

Smutno jęły wtedy ziółka,
Gdy ich świętej krwi dotknęły

Krople, a drobniejsze trawki
Z żalu wielkiego poschnęły.

Pan przyrody przyjął mile
Hołd ten, jaki mu kwiat dziki
Składał, i w nagrodę za to
W leśne przemienił gwoździki.

Kiedy więc, pobożny bracie,
Spojrzysz na ten kwiatek skromny,
Naśladuj go i bądź na to,
Jako powstał, zawsze pomny.



Róże białe i czerwone.

I.

Gdy z Jezusem do Egiptu
Matka boska uchodziła,
Utknęła nagle oślica,
Co ją z dzieciątkiem nosiła.

Szli więc dalej pieszo, Józef
Niosąc skromne zawiniątko
Z żywnością, a Matka boska
Na ramieniu swe dzieciątko.

Droga ciężka, upał wielki,
Nigdzie wody, cienia, drzewa;
Ciernie Maryi nogi rani,
A pot gęsty twarz jej zlewa.

Ale święta Panna milczy
I pokornie trudy znosi,
Czując boleść, tym goręcej
O cierpliwość w duszy prosi.

I nietylko Bóg wysłuchał
Modlitwy Synarodzicy,
Ale cudem też uświetnił
Świątą pokorę Dziewicy.

Bo gdzie z potu jej oblicza
Kropla ziemi doleciała,
Tam wykwitła pełna woni
Świeża jak śnieg — róża biała.

Gdzie zaś noga jej stąpiła
Ostrem cierniem poraniona,
Tam wykwitła z każdej kropli
Świętej krwi — róża czerwona.

II.

Oddawna już na kalwaryjskiej górze
Kwitnęły na opoce śliczne róże,

Czerwone jakby sydońskie szkarłaty,
Wonnejsze niż słynne Karmelu kwiaty.
Ale gdy naród żydowski okrutny
Chrystusa na krzyż wbił, nagle straciły
Róże swą wonność, gałązki opadły,
A śliczne czerwone listki pobladły.
Wiszący na krzyżu Zbawiciel świata
Rzekł wtedy, widząc żal pięknego kwiatu:
Na znak niewdzięcznym, a tobie na chwałę
Te róże zostaną na zawsze białe.
Jak Jezus orzekł, tak się odtąd stało,
Obok czerwonych kwitną inne białe.



Słońce w sobotę.

Wszystkim wiadomo, bo to rzecz nie nowa,
Że choć się słońce cały tydzień chowa
Za chmury, w sobotę zaświecić musi.
Dlaczego? powiem, jak wiem od babusi.
Albowiem w piątek w godzinę zgonu
Zbawiciela schodzi z swojego tronu
Najmiłościwsza nasza święta Pani,
Aby spojrzeć do czyściowej otchłani.
Wtedy spieszą zewsząd dusze cierpiące,
By u niej ochłodzić męki gorące,

I zbliżają do najświętszej Paniarki,
By się przynajmniej dotknąć jej sukienki.
Ich wdzięcznymi łzami ta sukienka biała
Bywa wnet zlaną i zmoczoną cała,
Tak że Maryi, gdy wróci do nieba,
Natychmiast sukienkę zmienić tę trzeba.
I tę sukienkę, którą dusze zlały
Łzami, wynoszą aniolki w dzień biały
Sobotni na słońce, suszą, przewracają,
A gdy obeschnie, do nieba wracają. —
Choć w słońce czasem od niedzieli
Aż do piątku ciemnych chmur nie rozdzieli,
Jednak w sobotę zawsze się ukaże,
Choćby na chwilkę, bo tak Pan Bóg każe.



Braciszek.

Spędziwszy mnogie lata w krwawym boju,
Zapragnął rycerz Sobiesław spokoju;
Więc porzuciwszy świat i zdrożne hucie,
Zabrał się starość spędzić na pokucie.
Rozdał więc rolę, szaty i klejnoty
Między ubogich, chorych i sieroty,
Wziął na się habit gruby i różaniec
Za pas zwiesił, i jakby wygnaniec

Wyszedszy z kijem w rękę z ojców dworu
Do poblizkiego zapukał klasztoru.
Bracia cystersi chętnie go przyjęli,
Bo Sobiesławy oddawna słynęli
Po całym kraju i rodu zacnością,
A jeszcze więcej wielką pobożnością.
Więc wszyscy bracia, od ojca przeora
Aż do braciszka Marka kalfaktora,
Żadną miarą na to przystać nie chcieli,
By Sobiech jak prosty braciszek w celi
Dni swoje spędził, ale na kapłana —
Jak się przystało na takiego pana —
Miał się wyświęcić. Że tak całe grono
Braci sądziło, więc tak uchwalono
I na konwencie. — Z przeora rozkazu
Wziął się Sobiesław do nauk od razu.
Ale biedaczek miał rozum zbyt tępy
I liche robił w łacinie postępy,
Mimo wielkiego głowy natężenia
Ledwie spał słowa pozdrowienia:
Ave Maria! — Przeto cme żarcików
Ściągnął na siebie braci swawolników;
Wreszcie uczone rzemiosło porzucił,
Poczem i święty spokój mu powrócił.
Odtąd Sobiesław w wytartym kapturze
Ostatnie i w refektarzu i w chórze

Miejsce już trzymał, prawie zapomniany
Od wszystkich, a czasem nawet wyśmiany.
Ale się nie martwił ani nie gniewał,
Zdrowaśki nizał i godzinki śpiewał;
We dnie czy w nocy, w tydzień czy w niedzielę,
Gdy nie pracował, zawsze był w kościele.
Więc kiedy go raz w chórze nie ujrzeli,
Wnet się przyczyny smutnej domyśleli:
W nocy staruszek umarł bogobojny,
Jak żył, tak skonał: cichy i spokojny.
Gdy weszli do celki, z martwego ciała
Już była piękna dusza uleciała;
Wychudłe dłonie pasyjkę trzymały
W którą się oczy wpatrując, skonały;
Ostatnie Zdrowaś usta osłodziło
Uśmiechem, gdy z nich z duszą uchodziło.
Skromnie braciszka potem pochowano,
I wkrótce całkiem o nim zapomniano. —
Lecz gdy w pierwszą wiosnę po Sobiesława
Zgonie zakwitły i ziółka i trawa,
A lilije wyrosły na jego grobie,
Nie mogli bracia wytłumaczyć sobie,
Zkąd się te piękne kwiaty pojawiły
I czyje ręce je tam zasadziły.
Lecz biedni jeszcze więcej się strwożyli,
Kiedy na każdym listku zobaczyli

Ich Sobiesława wielce ulubione
»Ave Maria« złoto wytłoczone.
Teraz dopiero z cudownego kwiatu
Poznali bracia, jaką krzywdę bratu
Przykrą za życia nieraz wyrządzili,
Gdy sobie w żartach z prostaczka sztydzili.
Poznali także, jak w niebie ceniony
Był brat na ziemi tak lekce ważony,
Poznali, że Pani nieba i ziemi
Nie daje gardzić sługami swojemi,
Lecz nawet cudem ująć się gotowa
Za niemi wszechwładna niebios królowa.



SEN.

W pewnem mieście włoskiem, z dobrych szkół
[sławnem,
Już nie wiem, kiedy — dość, że w czasie dawnym
Był też raz student niezwykłych zdolności,
Pilny, nadobny i wzór pobożności.
Ale bezbożnych kolegów przykłady
Z czasem zmieniły te zalety w wady.
Z początku rzadko i to pod pozorem
Rozrywki bywał ów student wieczorem
U złych kolegów; ale jak to bywa:

Daj djabłu palec, on ramię porywa.
Od razu nieśmiało, ze wstrętem prawie
Brał student udział w ich zdrożnej zabawie,
Ale się zwolna oswoił z sprośnością
I wnet kolegów przeszedł beczelnością;
I co przedtem wszystkich celował cnotą,
Stał się w krótkim czasie szkoły sromotą.
Lecz lubo życie prowadził gorszące
Ów student, jednak zachował gorące
Uszanowanie dla niebios królowy;
Do niej się modlił serdecznemi słowy
Dziecka do matki, przed nią lzy wylewał
Żalu i poprawę wciąż obiecywał.
Czczył ją jak matkę, wzywał jak patronkę,
Co dzień odmawiał nabożnie koronkę,
I mimo zabawy, mimo znużenia
Nie opuścił nigdy tego ćwiczenia. —
Razu jednego miał straszny prawdziwie
Sen; widział bowiem, jak Chrystus gniewliwie
Mówił: »Zaprawdę mojej cierpliwości
Przebrały miarę tego żaka złości!
Dziś zasłużoną zapłatę odbierze,
Dziś karę równą winie mu wymierzę.«
Tak mówił Pan Jezus, a w świętych gronie
Nikt głosu nie podniósł w ucznia obronie.
Wtedy więc Marya, grzesznych ucieczka,

Widząc, iż uczeń, zbłąkana owieczka,
Nie ujdzie pewnej kary potępienia,
Jeśli mu nie wyrobi przebaczenia,
Sama przed synem swoim wystąpiła
W jego obronie i tak przemówiła:
»Synu kochany, twoja dobrotliwość
Nie raczy odmówić, o co troskliwość
Matki cię prosi!... Nieszczęsny chłopczyzna
Wielce się zawinił, cię mego syna
Znieważył i gniew twój ściągnął na siebie.
Jednak dla mojej miłości do ciebie,
Daj się ubłagać i cofnij od niego
Raz jeszcze różgę zagniewania twego.
Udziel mu czasu, Panie mój łaskawy,
I twej pomocy do życia poprawy.«
Przez swej najświętszej matki mozną prośbę
Dał się Pan Jezus ubłagać i groźbę
Raz jeszcze cofnął, przyrzekł przebaczenie
Uczniowi i wszystkich win odpuszczenie,
Byle do życia cnotliwego wrócił
I drogę grzechu na zawsze porzucił. —
Marya wyrok przyjęła z wdzięcznością
I zaraz takowy z wielką radością
Mateczyną swemu słudze objawiła.
»Synu,« do niego słodko przemówiła,
»Wielkiej doznałeś łaski dziś u Pana,

Bo ci przez niego kara darowana.
Ale pamiętaj, co ci Pan przyrzeka,
Że cię daleko cięższa kara czeka,
Jeżeli się natychmiast nie nawrócisz
I drogi grzechu na dobre nie rzucisz.
Łaskę tęś winien jedynie wierności,
Z jakąś mi służył mimo swych zdrożności.«
Zerwał się ze snu student przerażony
I rzucił, w żalu serdecznym skruszony,
Do nóg Maryi, by jej złożyć dzięki
Za wielką łaskę doznaną z jej ręki.
A oraz przyrzekłszy poprawę święcie,
Wstąpił natychmiast, aby przedsięwzięcie
Swoje wykonać, zaraz do zakonu,
Gdzie aż do swego pobożnego zgonu
Za dni młodości ciężko pokutował,
A pięknym przykładem wszystkich budował.



Obraz Matki Boskiej carogrodzkiej.

W każdy dzień można i w każdy dzień trzeba
Uwielbiać królową ziemi i nieba;
Ale sobota jej dzień ulubiony
I do szczególnej chwały poświęcony.
Że taka jej wola, dowiodła cudem
Wielkim i głośnym przed wiernym swym ludem.
W starym słowiańskim, pysznym Carogrodzie
Była niegdyś cerkiew Bogarodzicy
Słynna z przepychu w całej okolicy,
Nad złotą zatoką greckiego morza;
Ale sławniejsza ztąd, że Matka Boża
Sobie to miejsce wielce polubiła
I mnóstwem łask i cudów poświęciła.
W tej oto cerkwi w osobnej kaplicy
Był obraz prześliczny Bogarodzicy,
Zachwycającej oblicza pięknnością
I ujmującej wzroku łagodnością,
Że wszyscy, co raz na obraz spojrzeli,
O nim przenigdy już nie zapomnieli.
Na tym obrazie była zawieszona
Z czci dla Maryi kosztowna zasłona,
Która oblicze święte zakrywała,
I nigdy ręka człowieka nie śmiała
Dla ciekawości podnieść tej zasłony.

Ale jak tylko wdzięcznie brzmiące dzwony
Z cerkiewnej wieży uderzą co piątek,
Zapowiadając nieszpórów początek,
Gdy się już słońce chyli do zachodu:
Wtedy się cała ludność Carogrodu
Do cerkwi ciśnie prądem nawałnicy
Oglądać oblicze Bogarodzicy.
Bo od piątkowych nieszpórów zaczyna
Zwolna się dźwigać kosztowna kurtyna,
Bez ludzkiej pomocy, więc iście cudem;
A przed zdziwionym carogrodzkim ludem,
Który Maryi korny hołd oddaje,
Obraz każdemu widomym się staje.
Gdy zaś w sobotę dzwonią na nieszpory,
Natenczas ukazuje się cud wtóry,
Bo jakby tknięta ręką niewidomą
Zasłona spada i obraz zakrywa:
Ztąd się sobota Maryi dniem nazywa.



Objaśnienia.

*



Objaśnienie do poematu „Piotr Dunin“

tom II-gi, str. 5.

Do najwybitniejszych mężów z czasów Bolesława III Krzywoustego i Władysława II należy Piotr Dunin, przez Niemców zwany zwykle Piotr Włast, a raczej Włost czyli Włostek, t. j. syn Włodzimirza, pan na Skrzynnie i Książu, wojewoda kaliski i kruswicki, później także wrocławski czyli namiestnik króla na Śląsku. Historyczna postać tego zasłużonego i powszechnie cenionego męża, przechodząca zwyczajną miarę współczesnych, wyrosła z czasem i przemieniła się w jakieś bajeczne zjawisko, opromienione, ale i zaćmione legendami bujnej wyobraźni wdzięcznego ludu, tak że dziś prawdziwych faktów z jego życia od zmyślonych i bajecznych awantur rozróżnić często niepodobna. Wielu twierdzi, że Piotr pochodził z Danii, opierając swe zdanie na jego nazwisku; tymczasem przypuszczenie to zupełnie mylne, gdyż nazwisko Duninów jest stare, czysto polskie. Jako Duńczyk, mówi podanie dalej, trudnił się za młodu rozbojem na morzu, ale jakimś cudownym wypadkiem przerażony, porzucił swe nieczne rzemiosło i nawrócił się szczerze do przyzwoitego i cnotliwego życia. Odbyszły pielgrzymkę do grobu św. Wojciecha w Trzemesznie, św. Idziego w Fran-

cyi i św. Jakóba w Hiszpanii, udał się na koniec do Rzymu, aby sobie u samego Ojca św. wyprosić rozgrzeszenie. Ojciec św. przyjął go bardzo łaskawie, rozgrzeszył, pocieszył i dał na koniec w proroczych słowach zapewnienie, iż mu Bóg ciężkie winy prawdziwie darował. Szczęśliwy Piotr powróciwszy do Danii i stanąwszy przed swoim królem i panem, wyznał mu swe winy, uzyskał przebaczenie i został nawet w poczet dworzan królewskich przyjęty. Gdy się z czasem zaszczytnie przed drugimi odznaczył, doznał u króla wielkich względów, tak że mu nawet poselstwo do jakiegoś księcia ruskiego poleconem zostało, aby tegoż poprosić o rękę córki dla syna króla duńskiego. Tymczasem zbiegiem różnych okoliczności stało się, że Piotr sam poślubił księżniczkę ruską, poczem naturalnie nie powrócił już do Danii, ale udał się na dwór króla polskiego Bolesława III, słynącego nateńczas szeroko i daleko po świecie. I tu doszedł Piotr z czasem wysokich godności, ale na koniec padł ofiarą miłej kobiety, Adelajdy, żony Władysława II. Za jej namową został do więzienia wtrącony i w okrutny sposób wzroku i języka pozbawiony. Wtedy to spełniła się przepowiednia papieża, bo Piotr pomimo okaleczenia nie utracił mowy, ale mówiąc bez języka dalej, objaśnił zdziwionym i przestraszonym oprawcom cud, jaki się z nim stał, poczem skonał spokojnie, pewny już swego zbawienia. Tyle legenda, na której tle, z pewną odmianą, osnute niniejsze opowiadanie.

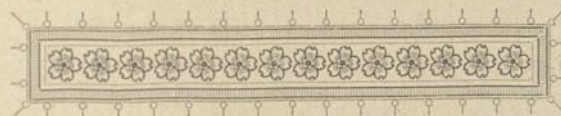
Tymczasem historia opiewa inaczej, i to że Piotr Dunin, jak już powiedziano, uzyskał sobie przez swoją dzielność, roztropność w radzie i waleczność w bitwie, względy i łaskę bohaterskiego króla Bolesława Krzywoustego, który go do wysokich godności wyniósł i znacznymi dobrami ob-

darzył. Tych używał Piotr głównie dla dobra kraju, wznosząc świątynie i klasztory, których liczbę na Ślązku, w Małopolsce aż na 77 podają, jako też zamki obronne, zakładając nowe drogi, które też pierwszy w Polsce kazał pomierzyć i odległości kamieniami oznaczyć, rozdając liczne jałmużny i wszystkim dobrze świadcząc. To też zażywał różnych względów zasłużony wojewoda u Władysława II, któremu po nieszczęsnym podziale państwa polskiego przez Bolesława III dostał się w udziale Śląsk i Małopolska z koroną królewską i zwierzchnictwem nad braćmi, drugimi książętami. Władysław miał za żonę Adelajdę, krewniaczkę cesarza niemieckiego, kobietę dumną, nie lubiącą Polaków a pogardzającą swą przybraną ojczyzną; z tych przyczyn wywierała szkodliwy wpływ na słabego męża i jego politykę, pragnąc cały dwór i kraj i obyczaj na sposób niemiecki przerobić czyli po prostu zniemczyć. Temu opierał się głównie z całym rycerstwem polskiem, Piotr Dunin, wojewoda wrocławski, ale przez to ściągnął na siebie gniew i zemstę Niemki. Jej niecnym machinacyom udało się bowiem, pozbawić Dunina łaski u Władysława, do czego podobno sam wojewoda miał się przyczynić, obraziwszy przez jakiś nieogłędny wyraz próżność słabego króla, który zasłużonego męża, odebrawszy mu wszelkie urzędy i dobra, do więzienia wrzucił, gdzie ten wielki i zany mąż umarł, w roku 1153. Widocznie padł ofiarą zazdrośnych, małodusznych współczesnych, którzy mu darować nie mogli, że ich dzielnością i zacnością za nadto przewyższał; ale cała potomność, aż do dnia dzisiejszego wynagrodziła mu tę niewdzięczność, sławiąc wraz z kościołami przez niego wzniesionemi, po całym Ślązku i Polsce czyny i cnoty szlachetnego Piotra Włosta-Dunina.

Objaśnienie do poematu „Róża“

tom II-gi, str. 38.

Wawrzyniec był biskupem wrocławskim od r. 1207 do 1232, i prawdziwą ozdobą katedry wrocławskiej, przyczyniwszy się wielce do rozwoju życia religijnego, obyczajności i oświaty na Śląsku. W jego ręce złożyła 1208 r. św. Jadwiga, księżna śląska, z swoim małżonkiem Henrykiem ślub wstrzemięźliwości dozgonnej, odkąd książę na pamiątkę tego aktu zapuścił długą brodę, od czego mu się dostał przydomek Brodaty. O tymto biskupie istnieje podanie ludowe, opisane w niniejszem opowiadaniu, że wspomniana Agnieszka objawiła mu blizką śmierć, podając mu świeżą różę, która się po dotknięciu natychmiast rozsypała. To zjawisko ma się do dziś dnia powtarzać, ile razy się zbliża śmierć biskupa zasiadającego na katedrze wrocławskiej.



Treść tomu II-go.

I. Opowiadania.

	Strona
Piotr Dunin, wojewoda wrocławski	5
Róża	38
Kłusownik	45
Kasper Karliński	51
Stara żebraczka	54
Wygnaniec do bociana	56
Wróżba w burzy	58
Zdrajce	60
Wspomnienia chłopięce	61
Dwie róże	68
Pierścionek	69
Flisaka opis Wrocławia	71
Wizyta doktorska	77

II. Wiersze treści religijnej.

Hymn	87
W krzyżu zbawienie	88
Poddanie	90

	Strona
Święty kościół katolicki	91
On naszym pokojem	92
Pieśń wracających pątników	93
Powrót do ideału	95
Gwiazda morza	102
Panna można	103
Pieśń o świętym Józefie	104
Pieśń o świętej Teresie	107
Pieśń o świętym Kazimierzu	109
Hymn na cześć świętej Jadwigi	111
Pieśni Mojżesza	114
Pieśń dziękczynna króla Ezechiasza	123
Supplikacya	126
Dies irae	127
Na jubileusz Ojca świętego	129
Na powitanie biskupa	131
Świętopietrze	133
Rodzina święta	135
Legenda skandynawska	138
Gwoździki leśne	139
Róże białe i czerwone	140
Słońce w sobotę	142
Braciszek	143
Sen	146
Obraz Matki Boskiej carogrodzkiej	150



B Nr 071199

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

165 S



001-000165-00-0

Oprawa z intrologatorni „Katolika“

